NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 476.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 1 kwietnia 1911. Nr. 13.

Wymordowanie rodziny.

(Treść na str. 2).



Od Administracyi.

Z numerem dzisiejszym rozpoczynamy **drugi** kwartał ósmego roku wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadesłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem do **6 kwietnia** prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma **Kraków XV. Nowowiejska 83**; prenumerata wynosi:

Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. 25 fen.

Do końca roku 12 kor. — 12 Mrk. 75 fen. już wraz z przesyłką pocztową.

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę **wszystkie księgarnie** tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

Biuro G. Ungra w Warszawie

Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Do końca roku 5 Rbs. 40 kop. — z przesyłką pocztową 7 Rbs. 80 kop.

Wymordowanie rodziny.

(Do illustracyi tytułowej.)

Spełniona została w ubiegłym tygodniu obok Krosna potworna zbrodnia, której dzikość rzuca smutne zaprawdę i ponure światło na kulturę ludu naszego w pewnych stronach kraju. Szczegóły zbrodni są tak straszne, że na myśl o nich krew ścina się w żyłach.

Podłożem zbrodni była dawna nienawiść między dwoma spokrewnionemi rodzinami chłopskiemi w Krościenku Niższem, Kolankami i Zajdlami. Rodziny te mieszkały w sąsiadujących ze sobą domach, z których dom Kolanków stoi na gruncie Zajdlów. Z tego właśnie powodu przychodziło często do sporów i zatargów i ostatecznie sprawę miał rozstrzygnąć sąd. Tymczasem jednak zawarły obie rodziny ugodę tej treści, iż Zajdlowie zgodzili się na dożywotnie mieszkanie Kolanków w domu, stojącym na gruncie Zajdlów.

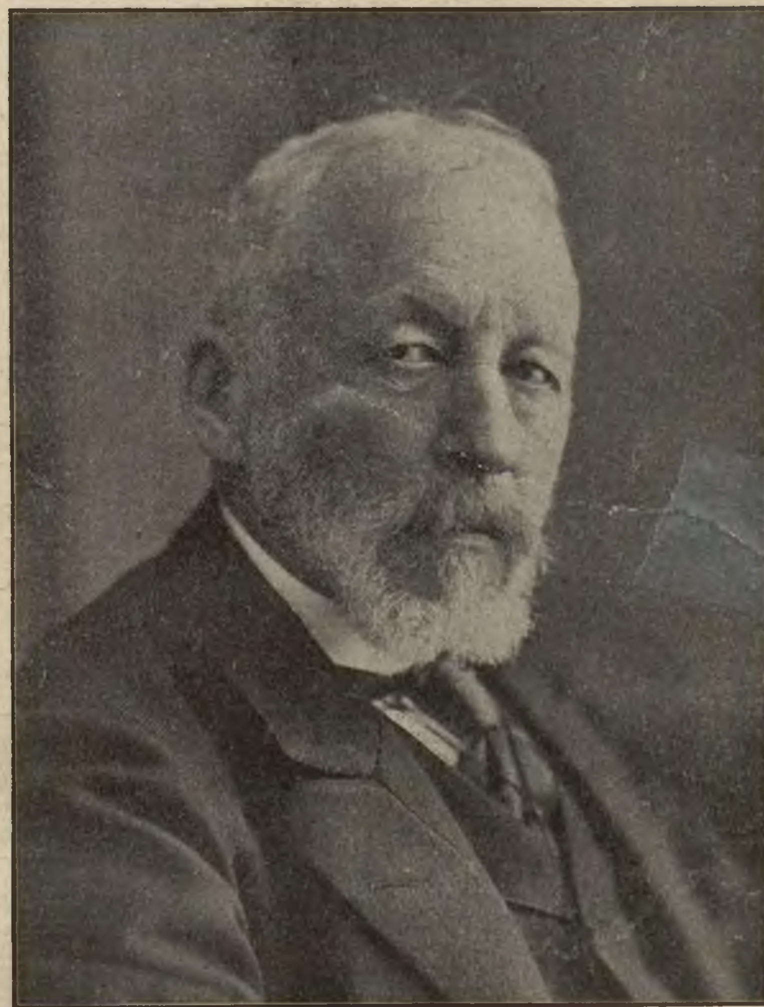
I to jednak załatwienie sprawy, dowodzące znacznej ustępliwości Zajdlów, nie zadowoliło ich sąsiadów i krewniaków, gdyż nieustannie dokuczali Zajdlom, zwłaszcza młody Kolanko, znany we wsi awanturnik, dawał się im stale we znaki. Zatargi te znane były w całej wsi, a mieszkańcy jej powtarzali głośno pogróżki Kolanków, iż zatłuką Zajdlów a dom ich spalą.

I rzeczywiście nie skończyło się na samych pogróżkach. Oto w ubiegłą niedzielę, gdy w domu Zajdlów prócz nich obojga, ludzi podeszłego wieku i schorowanych, bawił tylko chory syn z żoną i 10-letnim chłopakiem, wpadli do ich zagrody „krewniak" Kolanko, uzbrojony w kół i syn jego Franciszek z siekierą w ręku. Ponieważ dom był zamknięty, wyrąbali okna, przez nie dostali się do wnętrza i tam zamordowali oboje Zajdlów. Młody Zajdel zdołał wraz z synem schronić się na strych, dzięki czemu ocalili życie, żona zaś jego padła również ofiarą rozbójników, którzy spotkawszy ją u węgła domu, ciężko ją poranili.

Spełniwszy potworną zbrodnię, obaj Kolankowie udali się do domu, skąd ich w kilka godzin później żandarmerya zabrała i odstawiła do sądu w Krośnie.

Dzika zbrodnia wywołała w całej okolicy ogromne wrażenie.

Nasza dzisiejsza illustracya tytułowa przedstawia niesłychanie tragiczną chwilę mordowania sędziwych Zajdlów przez obu Kolanków.



Zgon zasłużonego uczonego: Ś. p. prof. dr. Maryan Sokołowski.
(Fot. Kuczyński i Gürtler, Kraków)



Nowy sztandar: Członkowie towarzystwa młodzieży rękodzielniczej im. Kościuszki we Lwowie ze swym nowym sztandarem, oraz uczestnicy uroczystego obchodu.
(Fot. M. Münz, Lwów).

Zgon zasłużonego uczonego.

Nauka polska poniosła w ostatnich dniach dotkliwą stratę. Jest nią zgon Maryana Sokołowskiego, długoletniego profesora wszechnicy Jagiellońskiej, jednego z najwybitniejszych polskich historyków sztuki.

S. p. Sokołowski, urodzony w r. 1839, ukończył szkoły średnie w Warszawie, a następnie oddawał się studyom uniwersyteckim kolejno w Paryżu, Heidelbergu i Wiedniu, poczem zwiedził Włochy, Grecyę i inne kraje. W r. 1877 zyskał w Krakowie doktorat filozofii, w następnym został docentem naszego uniwersytetu, w roku 1882 nadzwyczajnym, a w r. 1888 zwyczajnym jego profesorem i na tem stanowisku pozostał prawie do śmierci. Ale sale wykładowe i seminarya nie były jedynem polem jego działalności. Interesował się żywo wszystkiem, co miało związek z sztuką polską i nie szczędził trudu dla jej dobra. Był więc dyrektorem Muzeum Czartoryskich, założycielem i kierownikiem Domu Matejki, prezesem komisyi historyi sztuki w Akademii Umiejętności, prezesem grona konserwatorów zachodniej Galicyi i członkiem korespondentem wielu zagranicznych instytucyi archeologicznych, a na każdem z tych stanowisk niestrudzenie pracował dla dobra społeczeństwa, podnosząc poziom jego artystycznej kultury, gromadząc i oceniając skarby sztuki.

Spuścizna naukowa ś. p. Sokołowskiego jest również nadzwyczaj bogata. Ze stu bez mała prac, składających się na nią, wymieniamy dwie najważniejsze. Są to: „Ruiny na ostrowie jeziora w Lednicy“ i „Hans Suess z Kulmbachu i jego działalność w Krakowie“.

Nauka postępuje, a postęp ten częstokroć polega na burzeniu tego, co poprzednicy zbudowali. To też i niektóre hipotezy ś. p. profesora Sokołowskiego — przedewszystkiem jego twierdzenie, że Wit Stwosz był Niemcem — okazały się mylnemi. Nie czyni to najmniejszej ujmy zmarłemu uczonemu, owszem za jedną więcej zasługę poczytać mu należy rozbudzenie ruchu chociażby polemicznego na polu, które tak długo u nas leżało odłogiem, bo polemika w rzeczach wiedzy zwykle jest punktem wyjścia do coraz rzetelniejszych badań.

Z ś. p. Sokołowskim schodzi do grobu nietylko niestrudzony pracownik nauki, nietylko podpora mnóstwa instytucyi kulturalnych, lecz także mąż nieposzlakowanego charakteru i gorący patryota. Cześć jego pamięci!

Zjazd stowarzyszeń współdzielczych.

Kooperatywa jest jednym z najdonioślejszych czynników ekonomicznego życia naszych czasów. Umiejętne jej zastosowanie przyczynia się w wysokim stopniu do poprawienia bytu klas biedniejszych i zabezpiecza je przed wyzyskiem ze strony hurtownych handlarzy i pośredników.

To też zrozumiano potrzebę zakładania towarzystw współdzielczych w całej Europie; w krótkim stosunkowo czasie doszły one do świetnego rozwoju. Galicya pozostała w tej sprawie, jak we wielu innych, w tyle. Można jednak w latach ostatnich zauważyć zmianę na lepsze i pod tym względem.

Rezultaty są dotąd skromne. Posiadamy 40 towarzystw spożywczych i wytwórczych o łącznej liczbie członków, przenoszącej nie o wiele 3.000. Towarów zakupiono przeszło za milion koron, czysty zysk wynosił 20.000 koron, wpłacone udziały 55 000 k.

Istniejące spółki rozwijają się więc wcale pomyślnie, jest ich atoli w stosunku do obszaru naszego kraju i cyfry jego ludności bardzo mało. Dla porównania wystarczy przytoczyć, że podobne stowarzyszenia w Dolnej Austryi liczą 357.000 członków i zakupują rocznie towaru za 43 milionów.

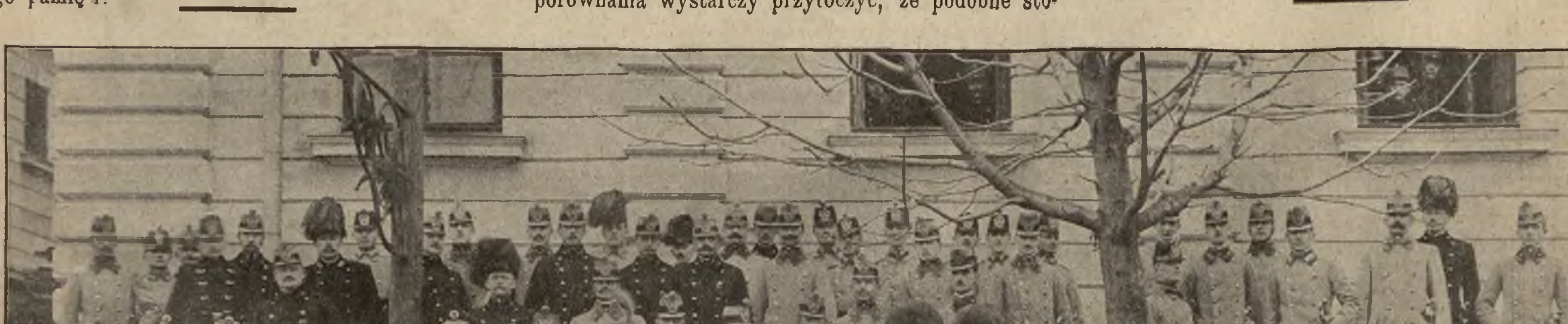
Głównym błędem i przeszkodą w prawidłowem funkcyonowaniu naszych kooperatywnych instytucyi był dotąd brak scentralizowania zakupna i wogóle brak łączności w działaniu między poszczególnemi spółkami. To też usunąć ten brak było głównem zadaniem zjazdu towarzystw współdzielczych, który odbył się w tych dniach we Lwowie.

W zjeździe wzięło udział 48 delegatów, reprezentujących 25 towarzystw. Po odczytaniu sprawozdań, ważnych ze względu na ogólny pogląd na działalność spółek, rozpoczęła się ożywiona dyskusya nad potrzebą założenia związku handlowego towarzystw, mającego na celu zbliżenie konsumentów do wytwórców przez usunięcie pośrednictwa i nad szczegółami przyszłej działalności tego związku.

Myśl jego stworzenia przyjęto jednogłośnie. Wobec tego wątpić nie należy, że zjazd był chwilą przełomową w dziejach towarzystw współdzielczych i od niego datować się będzie era ich szybszego rozwoju.



Proces o mord polityczny: Ława przysięgłych w procesie przeciw Trudnowskiemu i Sadowskiemu o zabicie Rybaka.



Odznaczenie popularnego oficera: Pułkownik Schatzl (X) w gronie oficerów 10. p. p. i delegatów innych pułków przemyskich. (Fot M. Todt, Przemyśl).

Nowy sztandar.

Wśród wielu towarzystw młodzieży rękodzielniczej we Lwowie wysunęło się w ostatnich czasach na czoło towarzystwo im. Kościuszki, skupiające w swych szeregach najwięcej członków i okazujące największą ruchliwość.

Staraniem tego towarzystwa odbył się w ubiegłym tygodniu uroczysty obchód rocznicy przysięgi Kościuszki na rynku krakowskim, połączony z uroczystością poświęcenia nowego sztandaru. Prócz licznego zastępu członków towarzystwa wzięli w obchodzie udział delegaci wielu polskich towarzystw we Lwowie i z prowincyi, kilkuset Sokołów z wszystkich gniazd lwowskich, korpus ochotniczej straży pożarnej, cechy ze sztandarami oraz tłumy publiczności. Uczestnicy uroczystości udali się pochodem przy dźwiękach kapeli „Czwartaków" do kościoła PP. Klarysek przy ul. Łyczakowskiej, gdzie uroczystą mszę św. odprawił ks. biskup Bandurski, który następnie wygłosił przepiękne kazanie. Nakoniec poświęcił czcigodny arcypasterz sztandar towarzystwa. Sztandar przedstawia się bardzo pięknie. Po jednej stronie widnieje postać Kościuszki, po drugiej biały orzeł. Nastąpiło wbijanie gwoździ przez rodziców chrzestnych, poczem udano się do ogrodu Strzeleckiego, gdzie nastąpiło zdjęcie fotograficzne uczestników obchodu. Z kolei komitet podejmował skromną przekąską gości, a podczas zebrania wygłoszono szereg podniosłych toastów i przemówień.

Następnego dnia odbył się na zakończenie uroczysty obchód w sali Sokoła, a na program wieczoru złożyło się przemówienie prezesa okręgu sokolego, p. Janikowskiego i przedstawienie sztuki Bełcikowskiego „Przekupka warszawska".



Proces o mord polityczny: Grono sprawozdawców dziennikarskich, między innymi dr. Reik (X) z Wiednia.



Proces o mord polityczny: Obrońca oskarżonych adw. dr. Zygmunt Marek (X) przed gmachem sądowym.

Obraz za półtrzecia miliona koron.

Podobnie, jak płody surowe i wyroby przemysłowe, mają skarby sztuki swoje rynki zbytu. Obecnie najważniejszym z tych rynków jest Ameryka, kraj milionerów, którzy chętnie lokują olbrzymie kapitały w rzeźbach i obrazach. Szczególnie poszukiwane są dzieła starych mistrzów. Niejeden Krezus z za oceanu ma specyalnych agentów do ich skupowania.

W Anglii, która posiada nieprzebrany zasób skarbów sztuki, ruch ten jest bardzo żywy. Silnie rozbudzone poczucie narodowe wyspiarzy, oburza się na ludzi dozwalających ogołacać ojczyznę z nagromadzonych przez przodków rzeźb i obrazów. Dzięki temu nabrała sprawa sprzedaży Rembrandtowskiego „Wiatraka" niemałego rozgłosu.

Za nieduży ten kawałek płótna ofiarował lordowi Landsdowne jeden z amerykańskich milionerów okrągłą sumę 100.000 funtów szterlingów — czyli 2.4 0.000 k. Lord zdecydował się na jego sprzedaż, ze względów patryotycznych jednak wstrzymał się z transakcyą, pozostawiając pierwszeństwo Anglikowi. Ogłosił nadto, że gdyby obraz nabyła Galerya Narodowa, zadowoliłby się sumą 95 tysięcy funtów. Ponieważ instytucya ta, jakkolwiek po królewsku uposażona, nie rozporządza tak olbrzymią kwotą, uciekła się tedy do ofiarności prywatnej. Istnieje plan, aby 19 bogatych ludzi złożyło się po 5000 funtów i w ten sposób ocaliło cenny zabytek sztuki dla narodu.

Tymczasem wystawiono go w jednej z sal galeryi na publiczny widok, a pierwszemi osobami, które wybrały się go obejrzeć, byli król Jerzy i jego małżonka. W ślady ich podążyła cała rzesza ciekawych — tak że okazała się potrzeba dzielenia jej na partye dla uniknięcia zbytniego natłoku.

Illustracya nasza przedstawia jedną z takich partyi, przyglądającą się „Wiatrakowi".



Pierwszy krajowy zjazd stowarzyszeń współdzielczych: Grupa uczestników zjazdu, między nimi prezes związku towarzystw zarobkowych i gospodarczych w Galicyi, p. Biechoński (X). (Fot. M. Münz, Lwów).

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

(Ciąg dalszy).

18

Urzędnik, zdziwiony tym dowodem jasnego rozumu i samodzielności u osoby, którą przywykł widywać pod specyalnym nadzorem tej właśnie, którą ona teraz powierzała jego opiece — popatrzył na wymowną twarz jej, tchnącą stanowczością i przez chwilę sam nie wiedział, jak ma sobie tę zmianę tłómaczyć i jak postąpić w tem dziwnem położeniu. Może zrozumiała myśli jego Karmela, a może tylko mimowoli uśmiechnęła się, patrząc na niego. Wobec uśmiechu tego zniknęło jego wahanie.

— Ja już tego dopilnuję — rzekł. Widząc zaś, że ona odchodzi, dodał:

— Jest już zupełnie ciemno. Możeby pani życzyła sobie, aby jeden ze służących towarzyszył pani...

Karmela nie odpowiedziała, a on nie dokończył. Już zapuszczała woalkę, gdy ujrzała kilku panów po drugiej stronie pokoju, przyglądających się jej z wyraźnem zadziwieniem. Wróciła tedy do biurka i jeszcze raz przemówiła do urzędnika, tym razem bardzo wyraźnie i głośniej:

— Ja byłam bardzo chora, wiem o tem i nie zawsze byłam sobą. Ale wrażenie tego wypadku, któremu uległa moja opiekunka, wróciło mi jasność myśli i możność załatwiania spraw moich samodzielnie. Może mi pan zaufać, potrafię załatwić wszystko tak, jak należy; ale może istotnie będzie lepiej, jeżeli pójdzie ze mną który ze służących.

Urzędnik, uspokojony tem wielce, zadzwonił, a panowie z drugiego końca pokoju wysunęli się, by gdzieindziej omówić swoje wrażenia. Jakżeby się zdziwili, gdyby im kto powiedział, że ta piękna dziewczyna z skazą blizny na twarzy, to ta tak ogólnie żałowana, na ustach wszystkich będąca Karmela Cumberland, siostra obciążonego strasznym zarzutem Artura.

Zaledwie Karmela wyszła na ulicę, świeżo do przytomności obudzona myśl jej zaczęła usilnie pracować.

Wiedziała, że znajduje się w miejscowości, zwanej Lakewood — nie wiedziała jednak, gdzie ta miejscowość leży. A drugi dziwny objaw! Nie poznawała ulic. Były dla niej czemś zupełnie nowem. Nie pamiętała ich zupełnie.

— Gdzie się znajduje stacya kolei? — zapytała chłopca hotelowego, który szedł obok niej.

— W tamtej stronie — odpowiedział dość nieokreślenie.

— Zaprowadź mnie tam, proszę!

Chłopak posłusznie przeprowadził ją przez kilka ulic; widok oświetlonych sklepów na ulicach sprawiał Karmeli przyjemność, pomimo całej ciężkiej jej troski; taką to było radością budzić się znowu do życia, chociaż pamięć nasuwała tak straszne wspomnienia, że sama się przed niemi cofała...

Widok stacyi, z której właśnie pociąg wychodził, przestraszył ją na chwilę hałasem swoim i światłem; opanowała się jednak niebawem i odszukawszy urząd telegraficzny, weszła i nadała depeszę do swego domowego lekarza, Carpentera:

„Proszę mnie oczekiwać przy rannym pociągu. Wszystko teraz jasno rozumiem i muszę wracać. Proszę o sekret do mego przyjazdu".

Podpisała telegram zdrobniałem imieniem, pod jakiem lekarz znał ją w jej dzieciństwie.

Następnie kupiła bilet i rozejrzała się w rozkładzie pociągu. Załatwiwszy to wszystko, wróciła do hotelu.

W drzwiach spotkała się z doktorem, który odwiedził właśnie rzekomą miss Huckins. Zatrzymał się, widząc ją i postawił kilka pytań. Karmela dosyć była bystrą, by zmiarkować, że doktorowi więcej chodzi o zbadanie jej stanu, niż o obecną pacyentkę. Odpowiedziała spokojnie, co doktora wielce zdziwiło, zaciekawiło i zainteresowało jej przypadkiem. Przestraszyło ją to. Nie pragnęła zwracać na siebie niczyjej uwagi. Przeciwnie, byłaby pragnęła ujść niespostrzeżenie. A przedewszystkiem lękała się wzbudzić podejrzenia.

To też zatrzymała się i najnaturalniej w świecie rozmawiała o wypadku miss Huckins i o tem, czego się w nocy należy spodziewać. Doktór nie obawiał się — tak przynajmniej utrzymywał — niczego złego, jednakże stan pacyentki wymagał troskliwej opieki; to też obiecywał przysłać zaraz doświadczoną dozorczynię. Tymczasem wystarczy służąca. Doktór prosił, by się nie niepokoiła, by dobry, pożywny obiad kazała sobie przysłać do pokoju i radził, by zaraz poszła do siebie i położywszy się, starała się zasnąć. Obiecywał przysłać jakiś środek nasenny.

Karmela świetnie grała swoją rolę.

— Bardzo pan dobry — rzekła — ale mi żadne środki nie potrzebne. Jestem zmęczona i jak tylko się do łóżka dostanę, zasnę z pewnością od razu. Wydam rozkazy, by mi nikt nie przeszkadzał, by nie wchodzono do mnie, gdyż chcę spać.

— Bardzo słusznie, ja sam to pielęgniarce zalecę.

Doktor odchodził już, ale obejrzał się raz jeszcze na Karmelę.

— Czy mam panią odprowadzić do drzwi jej pokoju?

Potrząsnęła głową z uśmiechem. Ta zwłoka była męką dla niej, ale musiała to ścierpieć.

— Ja przecież sama doskonale trafię. Mam nadzieję, że za tydzień miss Huckins będzie się tak dobrze miała, jak ja w tej chwili. Ale doktorze, chętnie przed naszem rozstaniem się załatwiłabym jedną sprawę. Te pieniądze, które mam, może nie są zupełnie bezpieczne w moich rękach. Nużbym znowu pamięć straciła — a wtedy miss Huckins mogłaby ucierpieć. Gdyby pan na wszelki wypadek ze względu na nią, pozwolił złożyć w swoje ręce pewną sumkę...

— To bardzo słuszna przezorność — odpowiedział doktor. — Ale równie dobrze mogłaby pani pieniądze zostawić w biurze hotelowem.

— Prawda, mogę — uświechnęła się. A ponieważ patrzył na nią, dodała jeszcze:

— Pan zapewne ciekaw, czy ja mam kogo ze znajomych, z przyjaciół. Owszem, obydwie mamy przyjaciół i właśnie wracam z miasta, bo telegrafowałam do mojej przyjaciółki. Niech się pan o nas nie niepokoi. Boję się tylko, żeby miss Huckins nie troszczyła się o mnie, jeżeli odzyska przytomność w nocy.

— Ona jej tak prędko nie odzyska. Nie mam nadziei przed upływem tygodnia. A wtedy będzie pani mogła być przy niej i uspokoi ją pani.

Karmela spuściła oczy.

— Za nic nie chciałabym jej zmartwić. Ona była bardzo dobrą dla mnie!

Ukłoniła się i poszła w kierunku biura.

Doktor uchylił kapelusza i pożegnał się. Cała rozmowa trwała może z pięć minut. Karmeli zdawało się, że trwała godzinę.

Usłuchała rady doktora i połowę pieniędzy złożyła u zarządcy hotelu. Następnie poszła na górę. Nie widział nikt, żeby schodziła na dół. Pociąg jednakże, wychodzący o trzy kwadranse na dziewiątą, zabrał pasażerkę, młodą dziewczynę, gęsto zawoalowaną, która weszła wprost do swego przedziału.

Balkon, idący pod jej oknem, ułatwił Karmeli ucieczkę. Ten balkon prowadził do okna w sieni nad bocznemi schodami. Nikogo nie spotkała na schodach, a raz z nich zeszedłszy i minąwszy drzwi, nie miała już żadnych trudności. Uciekła.

Spostrzeżono nieobecność Karmeli nazajutrz, wiadomość o tem dostała się do gazet. Ponieważ jednak imię i nazwisko miss Karliny Campbell w niczem publiczności nie objaśniło, więc też rozprawa toczyła się dalej i nikt się nie domyślał znaczenia ucieczki z hotelu w Lakewood tej nieznanej i niezupełnie przy zdrowych zmysłach będącej dziewczyny.

W domu dr. Carpentera Karmela zetknęła się z obrońcą brata Moffetem. To, co mu powiedziała, dodało mu wiele otuchy do dalszej walki. Wpłynęło też na cały kierunek obrony. Przekonawszy się, że nikt dotąd nie wie o powrocie Karmeli do miasta, prosił o utrzymanie tego i nadal w tajemnicy, by efekt, który układał, nie stracił na sile.

Karmela, która i tak drżała przed oczekującą ją męką, chętnie zgodziła się zataić do czasu obecność swoją — dr. Carpenter zaś, obawiając się tych wszystkich wzruszeń, rad byłby dziewczynie przedłużyć chwile spokoju.

Karmela pragnęła, by brat dowiedział się o jej powrocie, chytry adwokat jednakże wyprosił u niej tajemnicę i przed Arturem także. Wiedział, że musiałby walczyć z oporem młodego a upartego klienta swego i pragnął jego niemniej, jak prokuratora, zaskoczyć niespodziewanie; wiedział bowiem, że obwiniony byłby walczył do ostatka przeciw wystąpieniu Karmeli przed sądem i że sprawiłby w każdym razie kłopotu bez miary, gdyby nawet sprawie swojej poważnie nie zaszkodził. Artur bowiem za warunek postawił adwokatowi, gdy sprawę mu swoją powierzał, ażeby imienia Karmeli nie wciągał do rzeczy. Trzymał się też tego mr. Moffet, jakkolwiek był przekonany, że zbrodnia, przypisywana Arturowi, była wynikiem namiętnej miłości Ranelagha do Karmeli i dziełem jego ręki.

Mr. Moffet nie długo rozmawiał z Karmelą, gdyż doktór zbytecznie męczyć się jej ani ruszać nie pozwolił. Wobec tego nie wszystkie też szczegóły zdążyli omówić. Po raz drugi jednak adwokat już się nie stawił w domu doktora; lękał się zwracać uwagę i narazić tajemnicę. Telefonicznie tylko porozumiał się z doktorem i czekał pełen dobrej myśli, aż nadejdzie chwila wezwania Karmeli na świadka. I ku końcowi zaczął się trochę niepokoić, lękając się, by miss Unwin, przyszedłszy do przytomności, nie zatelegrafowała o ucieczce Karmeli i tym sposobem nie uprzedziła prokuratoryi o zamachu, który on gotował.

Nic takiego jednakże nie zaszło — a gdy nadszedł wielki dzień, mr. Moffet już tylko zastanawiał się nad tem, jakimby sposobem uprzedzić Artura o czekającej go niespodziance. I tego w końcu zaniechał, postanawiając wcale go nie uprzedzać a tylko we właściwej chwili i w obliczu sądu oznajmić mu, że siostra jego wyzdrowiała i że jako świadek stanie niebawem na sali. Chciał sobie tym sposobem umniejszyć trudności i oszczędzić przewidywanych gorzkich wyrzutów klienta.

Wobec oczekiwanego *coup d' état*, wybuch Elli, a nawet niespodziewane a dziwne zgłoszenie się Ranelagh'a do głosu, straciły wielce na znaczeniu. Miał to być ruch *królową* i miał oznaczać *szach* i *mat*. Nie zapominał jednak o tych dwóch *pionkach*, stojących na swoich miejscach i broniących tych pozycyi, do których władza *królowej* już nie sięgała.

KSIĘGA CZWARTA.

Co sosny szeptały.

XXIX.

„PRZYPOMINAM SOBIE TEN POKÓJ".

W chwili gdy Karmela odsłaniała twarz swoją przed sądem, mnie przejmowała myśl: Czy też ona spojrzy na mnie? Czy mogę się tego spodziewać? Czy pragnę tego?

Na te pytania otrzymałem odpowiedź, zanim jeszcze mr. Moffet zdążył powrócić na miejsce i zanim zaczął przemawiać.

Wzrok jej, przeszedłszy z twarzy brata, przesunął się zwolna i z wahaniem po twarzach jej najbliższych i pobiegł dalej, poza sędziego i poza trybunał, aż do tego miejsca, gdzie ja siedziałem. Tu powieki jej drgnęły, a we mnie serce tak głośno bić zaczęło, że mimowiednie usunąłem się od mego sąsiada. Czyniąc to, pociągnąłem jej oczy, które na jedną długą i pamiętną chwilę spotkały się z mojemi; a wtedy drgnęła i odwróciła spojrzenie, oblawszy się gorącym rumieńcem.

Nadzieja, którą zbudziło do życia jej ukazanie się, zagasła w mem sercu na widok tego rumieńca. Gdyż nie był to rumieniec radości albo niespodzianki, albo nawet bezwiednej sympatyi. Zrozumiałem, że to rumieniec strasznego, głębokiego, upokarzającego wstydu. Umiejąc tak dobrze czytać w twarzy Karmeli, znając każdy jej wyraz, nie mogłem się omylić. Ona miała nadzieję, że mnie tu nie będzie; przeraziła się, widząc mnie...

I we mnie w tej chwili podobne wrzały uczucia. Pragnąłem zapaść się pod ziemię. A jednak tego miejsca opuścić nie mogłem. Trzeba się było uzbroić na wszelkie wzruszenia.

Mr. Moffet uprzedził swoje badanie prośbą do przewodniczącego, do sądu i do prokuratora o względność w badaniu obecnego tu świadka, który dopiero co powstał z długiej i niebezpiecznej choroby. Na to powstał mr. Fox, prokurator, który już zdążył ze zdumienia ochłonąć i w uprzejmych słowach zaznaczył, że pragnie się, o ile możności, do tego zastosować.

Mr. Moffet skłonił się, dziękując i czekał, aż świadek złoży przysięgę. Złożyła ją Karmela z tak prostym wdziękiem, że ujęło to serca wszystkich, nawet jej chmurnego wciąż brata. Widząc jej czyste, wzniesione do góry spojrzenie w chwili, gdy rękę kładła na Ewangelii, zadałem sobie pytanie, czy też obecność jej tu nie będzie samooskarżeniem, które nikomu nie przyda się na nic, a tylko ją i jej najbliższych okryje gorszą hańbą, niż nawet ewentualne skazanie tego brata, którego ona ocalić zamierzała?

Trwożny i niewypowiedzianie wzruszony, czekałem biegu dalszych wypadków.

Chłodny głos mr. Moffeta przerwał ponure moje rozmyślania. Karmela siadła, złożywszy przysięgę i dały się słyszeć zwykłe pytania:

— Imię pani i nazwisko?

— Karmela Cumberland.

— Poznaje pani obwinionego, miss Cumberland?

— Tak jest, to mój brat.

Dreszcz przebiegł po sali. Łagodny, tkliwy ton

trafił do serc. Wydało mi się, że odtąd ludzie mniej surowo patrzyli na Artura, że mieli dobrą wolę dopatrzeć niewinności tam, gdzie wpierw szukali tylko winy.

— Miss Cumberland, bądź pani łaskawą powiedzieć nam, gdzie się pani znajdowała około godziny dziesiątej tego wieczora, gdy siostrę pani zamordowano?

— Byłam w domu klubowym — w tym domu, który nosi nazwę „pod Szumiącemi Sosnami".

Wobec tej dziwnej odpowiedzi, niespodziewanej dla wszystkich obecnych, oprócz mnie i nieszczęsnego Artura, niedowierzanie, połączone ze zdumieniem, odbiło się na wszystkich twarzach.

Karmela Cumberland w klubie tego wieczora — ona, którą o późnej godzinie znaleziono w własnym jej domu, skaleczoną i nieprzytomną? Nie uwierzonoby chyba, gdyby nie to, że nawet Artur, mniej teraz opanowany, niż pierwej, chmurną miną i milczącem spuszczeniem głowy okazał, że nieprawdopodobne to oświadczenie uznaje za prawdziwe.

Mr. Moffet uśmiechnął się lekko, jak gdyby dla dodania odwagi świadkowi i pytał dalej:

— Miss Cumberland, czy siostra była z panią, gdy się pani udawała do klubu?

— Nie; każda z nas udała się tam oddzielnie.

— Jakim sposobem? Może zechce pani i to wyjaśnić.

— Ja tam pojechałam. Jak się Adela tam dostała, nie wiem.

— Pojechała tam pani?

— Tak jest. Poprosiłam Artura, żeby mi konie zaprzągł i pojechałam.

Nastała chwila milczenia; przewodniczący, ława i prokurator zaczęli pojmować, że sprawa bierze obrót niespodziewany. Obrońca widocznie radował się szczerze i słychać było to zadowolenie w głosie jego, gdy pytał dalej:

— Miss Cumberland, zechciej nam pani opisać tego konia.

— Był to siwy koń. Miał wielką czarną łatę na lewej łopatce.

— Do czego był zaprzężony?

— Do sanek — do sanek mojego brata.

— Czy brat był z panią? Czy towarzyszył pani w jeździe pod Szumiące Sosny?

— Nie. Ja pojechałam zupełnie sama.

Jak gdyby w zachwyceniu słuchali teraz wszyscy. Mr. Moffet wyprostował się; dziwne światło biło z jego oczu, gdy głośno pytał dalej:

— A jak pani wróciła? Z kim, czy jakim sposobem wróciła pani do domu?

Odpowiedź zabrzmiała prosto i naturalnie:

— Wróciłam taksamo, jak pojechałam. Przyjechałam z powrotem sankami mego brata, sama, tak jak wpierw; odprzęgłam konie sama i weszłam do pustego domu i na górę do pokoju Adeli i tam straciłam przytomność.

Stłumione podniecenie wybuchło teraz. Przewodniczący jednak nie potrzebował wkraczać, gdyż zaledwie mr. Moffet podniósł rękę, jak na skinienie różczki czarodziejskiej uciszył się zamęt.

— Miss Cumberland, czy pani często tak wyjeżdża sama, w takie burzliwe noce?

— Nigdy nie wyjeżdżałam przedtem. I wtedy nie byłabym się ośmieliła, gdybym nie była pomyślała o pewnej ostrożności.

— O jakiejże to ostrożności?

— Zarzuciłam na moje ubranie stary płaszcz mojego brata i jedną z jego czapek włożyłam na głowę.

A więc wydało się; ten fakt, dla zatajenia którego zniosłem bez protestu uwięzienie, dla zatajenia którego Artur poszedł jeszcze dalej, oddając się pod sąd — ten fakt się wydał. Mimowoli spotkały się nasze oczy i w tej chwili powstało pomiędzy nami ciche porozumienie — tak różne od tej otaczającej nas wrzawy. Teraz bowiem powstała wrzawa, przechodząca wszelkie granice, publiczność bowiem zaczęła się oryentować, że te zeznania obalają najsilniejszy punkt oskarżenia.

Musiała nastąpić przerwa w postępowaniu, dopóki nie przywrócono porządku; przewodniczący musiał grozić opróżnieniem sali.

Myśl moja tymczasem pracowała usilnie. Przyglądałem się Arturowi, przyglądałem się obrońcy. Zniechęcenie Artura, źle ukryta radość Moffeta wszystko to mi dowodziło, że daremną moja nadzieja, iżby Karmeli oszczędzić miano wyjaśnienia tego wszystkiego, co najgoręcej pragnąłem, by pozostało w cieniu. Dla ocalenia Artura, choć działo się to wbrew jego woli, miano jej pozwolić spełnić ofiarę, do której pociągnęła ją szlachetność serca.

Czy był sposób powstrzymania jej wyznań? Nie zdawało się, żeby się tego spodziewać można było po prokuratorze, ani po dobrotliwym przewodniczącym. Tylko chytry Moffet wiedział, do czego zmierzał, a Moffetowi nie można było ufać. On chce wygrać swoją sprawę i zrobi wszystko, by ją wygrać. Choć delikatnie i uprzejmie traktował swego świadka, żelazną rękę miał on pod rękawiczką. Tak o nim mówiono, a ja się o tem miałem teraz przekonać, nie mogąc w niczem przeszkodzić.



A ta karteczka?...

— Miss Cumberland — zaczął — zechciej pani szczegółowo zdać sprawę sądowi ze wszystkiego, co zaszło owego wieczora, ze wszystkiego, czego pani była świadkiem. Niech pani zacznie swoje opowiadanie, jeśli łaska, od tego ostatniego obiadu, który państwo razem jedliście.

Karmela zawahała się. Niezwykle przykrem było dla niej to badanie.

— Niech pan będzie łaskaw postawić pytanie — poprosiła. — Ja nie wiem, jak zacząć.

— I owszem. Kto siedział przy stole tego wieczora?

— Moja siostra, mój brat, mr. Ranelagh i ja.

— Czy coś niezwykłego zaszło w czasie tego obiadu?

— Tak jest. Siostra moja kazała przynieść wina i napełnić wszystkie nasze kieliszki. Potem odesłała służącą, a po jej odejściu wstała, podniosła kieliszek i zażądała, żebyśmy zrobili to samo. „Wypijemy nasze narzeczeńskie zdrowie" — rzekła — a potem zwróciła się do Artura, gorzko mu wymawiając jego nałóg i oświadczając, że już nigdy butelka wina otwartą nie będzie w tym domu, roztworzyła palce i upuściła kieliszek, który stłuczony upadł na stół. Wtedy Artur upuścił swój kieliszek i ja mój także.

— A pan Ranelagh?

— Mr. Ranelagh swojego kieliszka nie upuścił. Postawił go na stole. Nie pił z niego wcale.

Jasno, zupełnie jasno — wszystko zgadzało się z tem, co już z innych źródeł było wiadomem. Stwierdzając to, sędziowie przysięgli z błyszczącemi oczyma, niecierpliwie czekali na dalsze pytania.

Spokojnym, ostrożnym głosem zapytał obrońca:

— Miss Cumberland, na kogo patrzyła pani w chwili upuszczania kieliszka?

Serce szarpnęło się we mnie. Pamiętałem dobrze tę chwilę. I ona również: znać to było z delikatnego rumieńca i z tego wysiłku, z jakim zadała sobie gwałt, by przemówić:

— Na pana Ranelagh'a — odpowiedziała ostatecznie.

— Nie na brata?

— Nie.

— A pan Ranelagh na kogo patrzył w tej chwili?

— Na... na mnie.

— Nie na siostrę pani?

— Nie.

— Czy co wtedy mówiono?

— Nie, wtedy nie. Upuściwszy kieliszki, odeszliśmy wszyscy od stołu i poszliśmy do małego pokoiku, w którym siedziało się czasem, zanim się przeszło do biblioteki. Artur szedł pierwszy, za nim mr. Ranelagh i ja, Adela ostatnia. My — my w ten sposób weszliśmy do tego pokoju i — jakie jeszcze pytanie życzy pan sobie postawić? — zakończyła, zapłoniwszy się mocno.

Mr. Moffat nie zwlekał z zapytaniem.

— Czy stało się co? Czy może mr. Ranelagh mówił co do pani, albo pani do niego, albo może siostra pani, Adela, przemówiła?

— Nikt nic nie mówił; nle mr. Ranelagh wsunął mi kawałek papieru do ręki... małą karteczkę. I właśnie wtenczas mój brat się obejrzał. Nie wiem, czy on widział tę karteczkę, czy też nie widział jej; ale oczy nasze się spotkały i być może, że ja się zarumieniłam. Zaraz też Artur odwrócił oczy i za chwilę wypadł z pokoju; słyszałam, że idzie na górę. Tymczasem zbliżyła się do mnie Adela, mr. Ranelagh zaczął z nią rozmawiać, a ja... ja przeszłam do półki z książkami, chcąc na uboczu przeczytać tę karteczkę.

— I przeczytała ją pani wtedy?

— Nie, bałam się. Poczekałam, dopóki pan Ranelagh nie odejdzie; wtedy dopiero poszłam do swego pokoju i przeczytałam kartkę. To nie był taki liścik... taki, żeby się nim można cieszyć... Chcę powiedzieć... z któregoby można być dumną. A jednak w pierwszej chwili ja się ucieszyłam... Niepoczciwa byłam...

Mr. Moffat spojrzał na prokuratora i pytał dalej. — Miss Cumberland, zanim nam pani opowie o tej karteczce, bądź pani tak dobrą powiedzieć nam, czy rozmawiała pani z siostrą przed pójściem na górę?

— O tak, rozmawiałyśmy. Rozmawialiśmy wszyscy troje, ale o rzeczach obojętnych. Służba wybierała się na zabawę i o tem mówiliśmy. Mr. Ranelagh niedługo się już zatrzymał. Powiedział, że ma wieczór zajęty i pożegnał się. Nie byłam z nimi w pokoju, gdy się żegnał. Byłam w sąsiednim, ale słyszałam, co mówi i widziałam, że odchodzi. Nie czekałam i nie rozmawiałam z Adelą.

— A ta karteczka?

— Przeczytałam ją, jak tylko przyszłam do swego pokoju. A potem długo siedziałam i rozmyślałam.

— Miss Cumberland, niech pani daruje moją prośbę, ale co zawierała ta karteczka?

Podniosła cierpliwe swoje oczy i spojrzała prosto na brata. Ten nie spojrzał na nią, ale ciemny rumieniec, który na bladą jego twarz wystąpił, świadczył, jaką mękę cierpi. Na mnie nie spojrzała ani razu; byłem jej wdzięczny za to, jak za litość okazaną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa podhalańska we Lwowie.

Sztuka podhalańska rozwija się u nas coraz piękniej i coraz liczniejszych znajduje zwolenników. Ze względu zaś na to, iż jest ona na wskróś swojska, że kultywuje motywy wyłącznie ludowe i narodowe, że dalej wiąże się ściśle z rozwojem przemysłu domowego, rola jej jest bardzo wybitna i zasługuje na szczególną uwagę.

Z tego też powodu i wystawa sztuki podhalańskiej, urządzona — jak już w poprzednim numerze donieśliśmy — we Lwowie, w salach tow. sztuk pięknych, wywołała ogólne zainteresowanie. Zadaniem i celem tej wystawy jest przedstawić dorobek kierunku sztuki stosowanej, który nosi nazwę stylu podhalańskiego lub zakopiańskiego.

Chwila obecna nadawała się do urządzenia podobnej wystawy tem więcej, że rok bieżący jest w jej rozwoju niejako jubileuszowym. Witkiewicz mianowicie, właściwy odkrywca stylu tego, wydając pierwszy zeszyt wzorów stylu zakopiańskiego, podał jako datę powstania stylu rok 1886, czyli że minęło właśnie lat 25, pierwszy stylowy dom zaś, t. zw. koleba, powstał 1891 r., czyli przed dwudziestu laty.

Wobec zainteresowania społeczeństwa sprawą uprzemysłowienia kraju, wystawa ta powinna zwrócić szczególną naszą uwagę. Między wystawionymi okazami są tam bowiem wytwory sztuki budowlanej, ślusarskiej, stolarskiej, ciesielskiej, jest ceramika i t. d. Ważną jest dalej wystawa podhalańska jako czynnik pedagogiczny, uczy bowiem, jak tworzy duch polski, jak z prostych motywów powstaje prawdziwa sztuka.

Wobec tego należy się szczere uznanie i wdzięczność tym wszystkim, ktorzy do urządzenia wystawy podhalańskiej we Lwowie się przyczynili.

Otwarcie jej nastąpiło w ubiegłą sobotę przy tłumnym udziale publiczności, między którą był cały szereg wybitnych osobistości. Zjawił się więc b. namiestnik i gorący miłośnik sztuki Leon hr. Piniński, prezydent miasta Ciuchciński, wiceprezydenci Epler i dr. Rutowski, wielu radnych, profesorowie, przedstawiciele świata artystycznego i literackiego, dziennikarze itd.

Do zebranych przemówił prof. dr. Jan Gwalbert Pawlikowski, a następnie wójt Zakopanego p. Curuś.

Wystawa przedstawia się nietylko bardzo interesująco ale i okazale. Przedmioty zgromadzone w kilku obszernych, jasnych salach, odznaczają się prawdziwą wartością artystyczną a o znaczeniu sztuki podhalańskiej pozwalają wyrobić sobie doskonały sąd.

Publiczność nie szczędziła słów uznania twórcom wystawy, a miarą zainteresowania jest niewątpliwie okoliczność, że już pierwszego dnia zwiedziło wystawę przeszło 1500 osób.



Wystawa podhalańska we Lwowie: Garnitur mebli w stylu podhalańskim; na ścianie kilim, przedstawiający taniec zbójnicki.

Sport w Afryce.

Ulubionym rodzajem sportu w starożytności były walki kogutów. Później słynęły szeroko hiszpańskie walki byków; do dziś dnia tylko z trudnością i zwolna wykorzeniają je ich przeciwnicy, którzy słusznie upatrują w nich objaw zdziczenia i krwiożerczości. Coś podobnego istnieje oddawna w Afryce.

Murzyni, zamieszkali w północnej części Senegalu, zwanej Maurytanią, a od r. 1909, pozostającej pod protektoratem Francyi, prowadzą życie koczownicze. Chowają oni niezliczone stada owiec, a pasąc je, przenoszą się wciąż z miejsca na miejsce, gdyż spalone przez tropikalne upały stepy pokryte są zrzadka tylko i skąpo trawą.

Specyalna rasa dostarcza im baranów, używanych do walki. Są to okazy ogromne, o dużych, zakręconych rogach, godnych dzikich baranów azyatyckich i o długiej, kędzierzawej, białej wełnie, która tylko na grzbiecie przybiera odcień szary. Naoczny świadek opowiada, co następuje, o pojedynku takich dwóch championów:

„Zgromadziła się wielka gromada murzynów, pałających żądzą przyjrzenia się ulubionemu widowisku. Gdy właściciele obu baranów wyprowadzili je na pole walki, widzowie zaczęli zaraz wypowiadać rzeczowe uwagi, chwalić lub ganić „zapaśników“ i nawet robić znaczne zakłady. Właściciele ustawili



Sport w Afryce: Murzyni, przypatrujący się zaciekłym zapasom dwu baranów.

barany w odległości mniej więcej ośmiu metrów i wypuścili je równocześnie, a zwierzęta rzuciły się ku sobie pędem, uderzając z wielkim hukiem czołem o czoło. Po chwili słabszy, nie mogąc wytrzymać naporu przeciwnika, podał tył i uciekał, ścigany przez zwycięscę, ale pan jego schwytał go i zwrócił znów ku napastnikowi. Okazało się, że baran nie stracił chęci do walki i to powtarzało się kilkakrotnie. Najciekawszą rzeczą wydawało mi się, że zwierzęta nie robiły prawie żadnego użytku ze swej naturalnej broni, która mogłaby być naprawdę straszną. Tylko ścigający zadawał pokonanemu parę uderzeń rogami, ilekroć zdołał go dopaść.

Skoro jeden z zapaśników absolutnie nie dawał już się zmusić do boju, zapasy były rozstrzygnięte. Wówczas szczęśliwy właściciel championa odbierał gratulacye i radował się, że część sławy zwierzęcia spłynęła na niego. Wypłacano sobie też natychmiast stawki, naturalnie nie w brzęczącej monecie ani w obligacyach, tylko w owcach i przedmiotach codziennego użytku".



Wystawa podhalańska we Lwowie: Garnitur jadalny w stylu podhalańskim.

Bez wątpienia tak popularne we wszystkich miastach Europy wyścigi konne są rozrywką szlachetniejszą i mniej barbarzyńską. Nie można się jednak, czytając to sprawozdanie, wstrzymać od dojrzenia pewnej analogii między nimi, a prymitywniejszym o wiele sportem dzikich synów Południa...

Pierwszy galicyjski beczkowóz do przewozu wina.

Od czasu, kiedy w Austryi obowiązuje ustawa dotycząca handlu winem, wzrasta z roku na rok jego konsumcya. Dawniej, kiedy wolno było wyrabiać i sprzedawać wina sztuczne i półwina, nikt nie był pewnym, czy za drogie pieniądze pije wino naturalne. Dziś, kiedy ustawa o winie z roku 1907. zabrania wyrobu i sprzedaży win sztucznych i półwin, możemy być pewni, iż wina, w handlach sprzedawane, są winami naturalnemi. Nadużycia w tym kierunku trafiają się bardzo rzadko i to chyba dzieje się przy winach, dostarczanych przez agentów do domów prywatnych, gdyż te nie podlegają kontroli.

Organami wykonawczymi ustawy o winie są inspektorowie piwnic, którzy mają prawo i obowiązek rewizyi wina w lokalach sprzedaży i piwnicach. Inspektor piwnic winnych ma prawo wkroczyć do lokalu sprzedaży wina lub piwnicy o każdej porze, gdy lokal sprzedaży jest otwarty lub gdy w piwnicy wykonvwa się jakąkolwiek pracę. Na nasz kraj przydzielił rząd dwóch inspektorów a mianowicie na zachodnią część kraju z siedzibą w Krakowie a na wschodnią z siedzibą we Lwowie.

Wobec tak surowej ustawy, to jest wobec ochrony prawnej handlarza wina przed brudną konkurencyą, zaś konsumenta przed falsyfikatami, wzrasta zapotrzebowanie wina z roku na rok. Więksi handlarze wina sprowadzają znaczne zapasy. Pierwszy raz sprowadziła do Lwowa wina w beczkowozie firma Maks Wiksel i Syn.

Beczkowóz dla transportu wina ma na zewnątrz wygląd zwykłego wagonu, wewnątrz zaś znajdują się trzy beczki, stale do podłogi przymocowane, o pojemności każda po 5000 litrów, co razem czyni 15.000 litrów. Beczkowóz taki służy stale do transportu wina a każdy odbiorca ma obowiązek po spuszczeniu wina, beczki wysiarkować, aby resztki nie zocciały. Beczkowozy posiadają w Austryi spółki eksportu wina w Dalmacyi i południowym Tyrolu.

Rok 1910. był rokiem nieurodzaju wina i kiedy w roku 1908. zbiór wina w Austryi wynosił ponad 8,000.000 hektolitrów, w roku 1910. wynosił tylko dwa i pół miljona hektolitrów.

Illustracya nasza przedstawia pierwszy galicyjski beczkowóz do transportu wina, i inspektora piwnic winnych Galicyi wschodniej p. Poluszyńskiego.



Pierwszy galicyjski beczkowóz do przewozu wina: Beczkowóz na dworcu we Lwowie; obok drzwi inspektor piwnic winnych A. Poluszyński (X).

Fot. M. Münz, Lwów.

Pięćdziesięcioletni jubileusz marynarza.

W dniu 20 go marca b. r. obchodził uroczyście jubileusz pięćdziesięcioletniej służby wojskowej wiceadmirał austryackiej marynarki, rodak nasz, Juliusz Ripper, komendant portu wojennego w Poli.

Jubilat, urodzony w r. 1847 w Podgórzu, pochodzi z rodziny, która przesiedliła się tutaj z Niemiec przed przeszło stu laty, a z czasem spolonizowała się zupełnie, czego wymownym dowodem jest właśnie sędziwy Jubilat, który mimo iż od czternastego roku życia służy poza krajem, utrzymuje z nim żywą łączność i zawsze uważa się za Polaka. W Krakowie kształcił też swego jedynego, nieżyjącego już syna i jedną z córek. Jeden z jego braci jest inżynierem w Wadowicach, młodsza siostra żoną znanego adwokata krakowskiego dra Kazimierza Smolarskiego, córka zaś żoną tutejszego obywatela i przemysłowca p. Juliusza Grossego.

Przez cały czas swej pięćdziesięcioletniej służby wojskowej odznaczał się Jubilat niezmordowaną gorliwością i ogromnem zamiłowaniem swego zawodu, położył też niespożyte zasługi około rozwoju austryackiej marynarki wojennej, której jest prawdziwą ozdobą. Zwłaszcza w dziedzinie walki przy pomocy torpedowców jest admirał Ripper uznaną pierwszorzędną powagą, w budowie ich, już jako porucznik okrętowy wprowadził on bardzo poważne ulepszenia.

Jako porucznik dowodził Ripper łodzią torpedową, która miała za zadanie przepłynąć z Poli przez morze Śródziemne i Czarne do ujścia Dunaju, a stąd w górę jego biegu aż do Wiednia. W drodze powrotnej okazało się, iż stan wody na Dunaju jest zanadto niski, aby głęboko idący statek mógł przepłynąć przez nieuregulowaną jeszcze wówczas Żelazną Bramę. Poradził sobie jednak dzielny marynarz w tem krytycznem położeniu. Znając dokładnie konstrukcyę statku, zdemontował przy pomocy swego technicznego personalu całą maszyneryę i załadował na wynajęty parowiec, następnie zaś przeholował łódź przez niebezpieczne miejsce, aby znów z drugiej strony przeszkody, przyprowadzić ją do pierwotnego stanu, poczem dalsza jazda odbyła się już bez żadnej przeszkody. Wówczas okazało się, jak znakomitym znawcą budowy okrętów wojennych i służby marynarskiej jest nasz rodak.

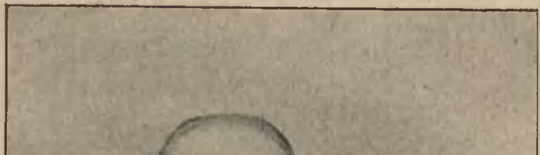
Wielokrotnie dowodził on wielkimi okrętami wojennymi, przed kilku zaś laty oddano pod jego komendę międzynarodową flotę, wysłaną w celu demonstracyi przeciw Turcyi, odbywał też w celach reprezentacyjnych dalekie podróże światowe.

Podczas wojny amerykańsko hiszpańskiej w r. 1898 wysłała Austrya na pole walki koło wyspy Kuby swój najpotężniejszy wówczas okręt wojenny „Cesarzowa i królowa Marya Teresa“, który oddano pod rozkazy Rippera. W bitwie rozstrzygającej na wodach kubańskich, w której flota amerykańska zniszczyła doszczętnie hiszpańską, zbliżył się Ripper ze swym okrętem tak dalece ku walczącym stronom, iż dostał się na linię strzałów i tylko dzięki nader zręcznemu manewrowaniu udało mu się uniknąć pocisków, wyrzucanych z kolosalnych pancerników północno amerykańskiej Unii.

Działalość marynarska admirała Rippera spotkała się z zasłużonem uznaniem. Ozdobiony najwyższemi odznaczeniami, uważany jest Jubilat za jednego z najzdolniejszych oficerów austryackiej floty wojennej i znakomitego instruktora. Z okazyi jubileuszu pięćdziesięcioletniej służby wojskowej był on też przedmiotem serdecznych owacyi ze strony kolegów zawodowych, cesarz Franciszek Józef ozdobił go orderem Żelaznej Korony pierwszej klasy, a prasa, szczególniej fachowa, podniosła jego niepospolite zasługi, życząc mu długich jeszcze lat życia w zdrowiu i czerstwości.



Operetka dziecięca: Grupa malutkich amatorów i amatorek, występujących w dziecięcej operetce „Trutnie“, w sali „Czytelni kobiet im. Słowackiego“; poniżej autorka libretta p. J. Pniowerówna i kompozytorka muzyki p. A. Fischerówna.



Pięćdziesięcioletni jubileusz marynarza: Rodak nasz J. E. Juliusz Ripper, wiceadmirał austryackiej marynarki wojennej.



Wystawa podhalańska we Lwowie: Grono inicyatorów i twórców wystawy: 1. J. Brzega, 2. prof. dr. Pawlikowski, 3. prof. Skoczylas, 4. prof. Gałek, 5. sekretarz Sokołowski, 6. dr. Treter, 7. art. malarz W. Jarocki, 8. art. malarz Rybkowski, 9. art. mal. Harasimowicz, 10. architekt Mokłowski. (Fot. J. Jaworski, Lwów).

Jubileusz „Kuryera stanisławowskiego".

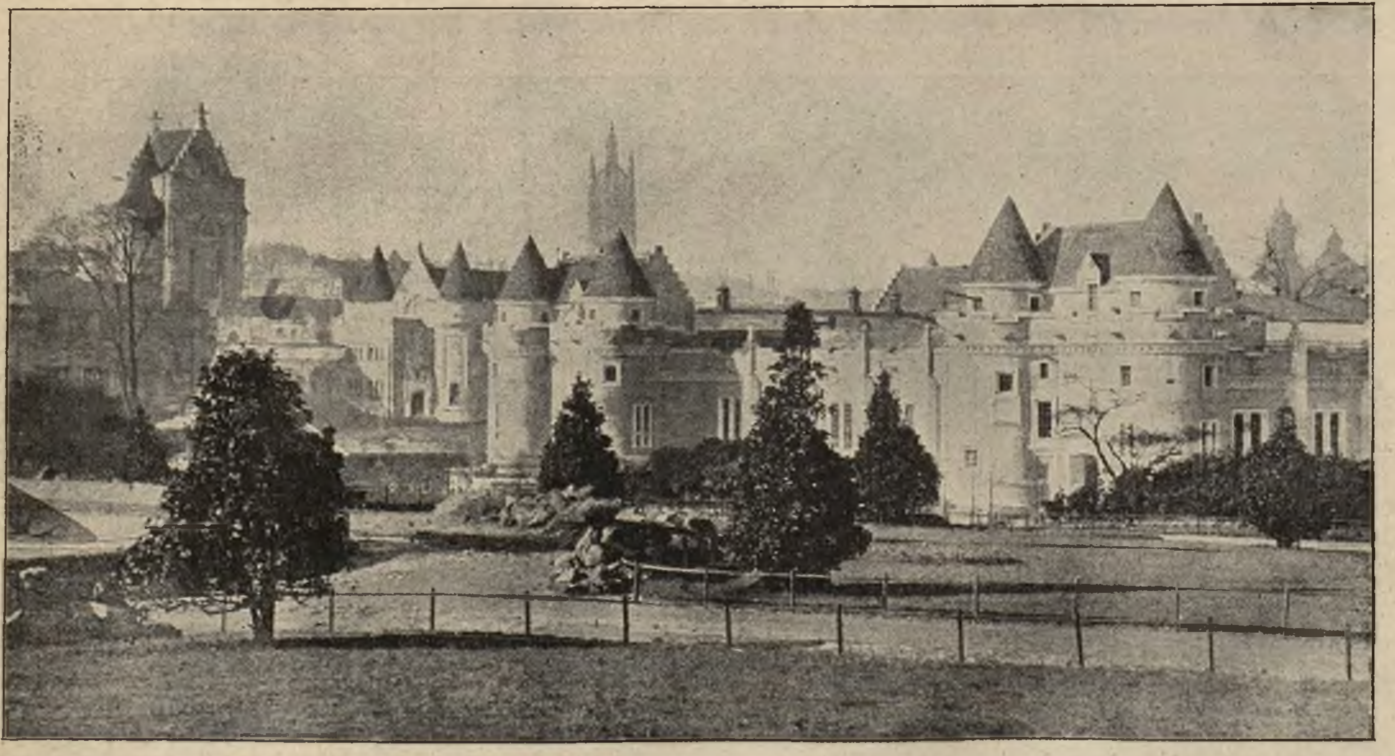
Rzadki w dziejach dziennikarstwa prowincyonalnego jubileusz 25-letniego istnienia swego obchodzi „Kuryer stanisławowski", redagowany od chwili założenia bez przerwy przez p. Józefa Wierzejskiego, starszego radcę magistratu w Stanisławowie.

P. Wierzejski jako redaktor i jako człowiek służył zawsze gorąco sprawom swojego rodzinnego miasta, owiany dlań jak najszlachetniejszemi pobudkami. Zdając sobie dokładnie sprawę z przyjętych na siebie obowiązków polskiego dziennikarza, bronił zawsze w swem piśmie polskiego charakteru miasta, stojąc wiernie przy sztandarze narodowym w duchu demokratycznym i mimo trudności i ciężkich nieraz warunków, wytrwał dzielnie na posterunku, wierny swemu programowi pracy i idei.

Dnia 4 kwietnia b. r. upływa 25 lat od ukazania się pierwszego numeru „Kuryera stanisławowskiego", redagowanego w pierwszym roku wspólnie z drem Arturem Nimhinem, obecnym burmistrzem Stanisławowa. Impuls do założenia tego tygodnika wyszedł od Agatona Gillera, niestrudzonego działacza narodowego, gorącego patryoty i znakomitego publicysty, który przez cały czas swojego pobytu w Stanisławowie nie szczędził młodej redakcyi moralnego i czynnego poparcia i opieki. Ze wzrostem miasta wzrastały też łamy „Kuryera", który stał się jedynym wykładnikiem polskiego ruchu narodowego i społecznego w Stanisławowie. Dzisiaj stał się „Kuryer" jednym z najpoważniejszych tygodników prowincyonalnych, skupiającym częstokroć wybitniejsze siły literackie.

Redaktor Wierzejski to żywa kronika Stanisławowa od początku całego ćwierćwiecza. Aby miastu służyć, rzucił karyerę prawniczą jako kandydat notaryalny i wszedł do służby konceptowej przy tamtejszym magistracie, gdzie rzetelną pracą i zasługami dosłużył się rangi starszego radcy. Zasłużonemu redaktorowi przesyłamy życzenia, aby jak najdłużej stał na czele obywatelskiej pracy z pożytkiem dla swego miasta i społeczeństwa, wśród którego pracuje.

Z okazyi jubileuszu wydawnictwa „Kuryera stanisławowskiego", zamieszczamy dziś portret redaktora tego pisma, st. radcy Wierzejskiego.

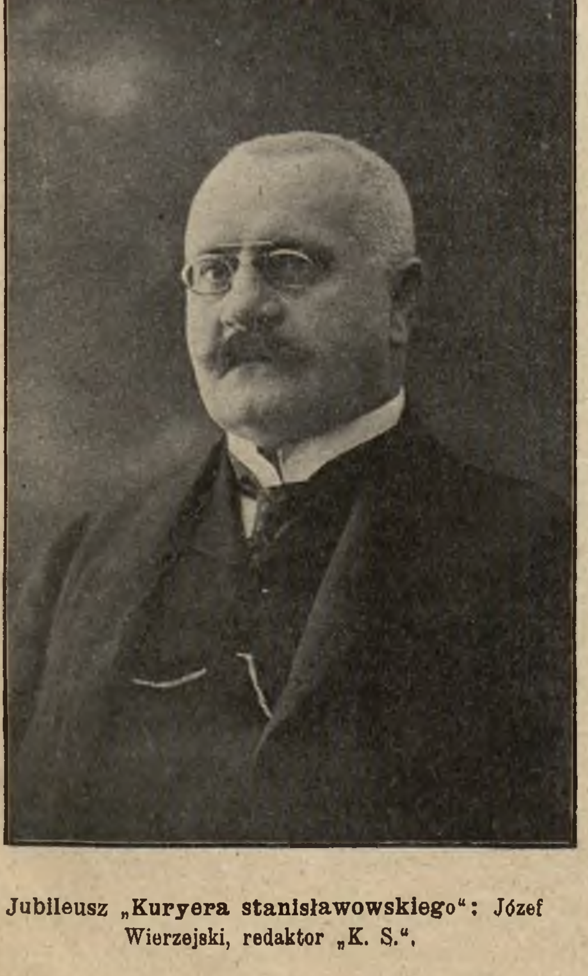


Szkocka wystawa narodowa: Widok ogólny kilku budynków.

Narodowa wystawa szkocka.

W dniu 3 maja b. r. nastąpi w parku Kensingrov w Glasgowie otwarcie narodowej wystawy szkockiej, która ma dać barwny obraz zarówno ekonomicznego. jak literackiego i artystycznego rozwoju ojczyzny Burnsa w chwili obecnej. Otwarcie nastąpi z wielką uroczystością w obecności księcia Connaught, jednego z najbliższych krewnych króla Jerzego. Dochód z wystawy przeznaczono na wyposażenie nowej katedry szkockiej historyi i literatury na uniwersytecie w Glasgowie.

Załączona illustracya przedstawia widok kilku głównych budynków wystawy i okazuje jej piękne zewnętrzne urządzenie. Zaznaczyć jednak należy, że nie daje wyobrażenia o rozmiarach całości.



Jubileusz „Kuryera stanisławowskiego": Józef Wierzejski, redaktor „K. S.".



Obraz za półtrzecia miliona koron: „Wiatrak" Rembrandta, wystawiony na sprzedaż w Londynie.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

22

— Kościołowską znam, choć się z nią nie zadaję i znam, kiedy w szynku, u Czarneckiego, za ladą sługowała. Tam ci zeszedł się z nią Kościołowski, Czarneckiego kamrat i namówił ją do siebie, do kawiarni, tej samej co dziś „Dziurki". Kościołowski był żonaty i dzietny. Lecz nicpotem do rozumu mu się dobrała i na gospodynię wyszła. A gdy ślubna niewiasta na śmierć się zalamentowała Kościołowskiemu, tedy dziad, bo Kościołowski dziadem już był, ożenił się z ową Fruzią! I na własne nieszczęście. Jakże się po sakramentem wzmocniła, tak starego za łeb, pasierbów na cztery wiatry i dalej się z gachami wodzić. A osobliwie z jednym Cydzikiem, co znów ponoś był żonaty i dzietny. Cydzikowa, która do męża, choć ladaco był, wielką miała pasyę, za kolana Kościołowską brała, żeby nie bałamuciła jej chłopa — gdzie zaś! Sucha Jewa upatrzyła sobie coś do rudzielca a rudzielec do szczapy z łbem natarmoszonym i Cydzik do Kościołowskiej się ukwaterował. Ale od kawiarni był zdala, swoje czynił a co różnie ludzie mówią, przy Lubowidzkim się kręcił, z Makrotem był w komitywie. Wiadomo, kiedy się raz i drugi w „Dziurce" cywile z wojskowymi pochlastali i tak, że cały odwach z Saskiego dziedzińca na rozejm się zleciał, Kościołowskiej włos z głowy nie spadł, choć za byle chryję odbierano konsens i choć Honoratka z przeciwka do samego Gendre'a trafiła, aby się pozbyć sąsiadki. Siła by wypominać! Dopiero kiedy rewolucya się uczyniła a osobliwie, kiedy to lud był na różnych zawzięty, Cydzik raptem zginął. I będzie temu trzy miesiące, znów się pokazał, ale już niby cały dziedzic, szlachcic i patryot ognisty, Prawdziwie, do stu ochotnika ze sobą przywiódł, własnym sumptem umundurowanie sprawił i do komitywy nie wiadomo z kim doszedł Z Kościołowską zadaje się precz, ale chyłkiem, tak że go w kawiarni ani widać! Kościołowska takoż na ambit wzięła. Tydzień w tydzień chorągwiami stroi wejście do kawiarni, ofiary na zbrojenia składa, cztery izby na lazaret wypuściła a co do księdza Puławskiego, który na Starem mieście okrutne ma posłuchanie, zgoła jak opętana biega.

Dziurbacki na te wywody zafrasował się szczerze. Wszystko razem tyle dlań warte było, co nic. Madejowa jeszcze rozpowiadała o bezeceństwach Kościołowskiej, napomykała, że służy u niej stryjeczna Kaśki i że przez nią pani Madejowa się dowiedzieć może niejednego, bo do dziewczyny stroi koperczaki niejaki Dragoński, famulus oficerski a teraz onego Cydzika zaufaniec, pijaczyna i pokraka. Lecz wachmistrz na to wszystko coraz bardziej kwaśniał, coraz mniej baczył. Aż Madejowa postrzegła.

— Waspanowi nie w smak moje powiadanie?

— A no, bo nie widzę, kędy zwierza chwycić...

— Mówię panu Pietrzowi...

— Lada co, bez urazy.

— Bo nie wiem, coby trza! Skrzywdził jegomości, więc masz go na półmisku. Na ratusz iść i pedzieć tak i tak, to i to mi uczynił, świadków podać, skrypt, czyli jak, sprezentować... Tam ci go przycisną i do trybunału. Chcesz, to mogę woźnego... sprawiedliwie tyle mnie obchodzi, co zeszłoroczny śnieg — ale dla pana Pietrza...

— Nie poradzi.

Baba jęła dociekać. Profos zbywał ją półsłówkami, ale tem panią Madejową tak rozciekawił, że wprost naparła się.

Dziurbacki wahał się, ociągał, wreszcie w otwarte, szczerze nań patrzące oblicze pani Madejowej zerknął i bąknął piąte przez dziesiąte o zniknięciu dwoistej swej siostrzanki, nie wspomniawszy ani słowa o papierach i audytorze.

Właścicielka garkuchni aż się po bokach klasnęła.

— A to ci dopieroj oczajdusza, piekielnik! Żeby dziś dzieciaka...

— Pewności nie ma, mospanie!

— Jakto nie ma! Co mi pan Pietrzuś mówi! Wszystkiego się spodziej, żeby przed kuczkami, czy jak tam, myślałabym, że maleństwo żydom do krwie utoczenia na macę przedał.

— I tam, pani Madejowa!

— Uczciwie! Niechże sobie pan Pietrzuś pestkówki do mnie... wedle pępka, na zmocnienie od cholery, wyśmienita! Na Piekarskiej troje dzisiaj wymiotło! Tedy o czem to!? — Aha! — Jako żywo, do maców chrześcijańskiej trzeba im krwie, tedy dzieciaka zdybają i w beczkę, nabijaną gwoździami!— Na zdrowie waspańskie! Jam nie trunkowa, lecz z panem Pietrzem, eh, to bogdaj w piekło! — Na Cydzika patrzy!

Dziurbacki cmoktnął wódki.

— Ludzkie wymysły!

— Niechże — ale niech sobie pan Pietrz zakonotuje, że juści on na miłosierdzie waszej siostrzanki nie wymanił.

— Mogła i sama się zawieruszyć.

— Ani myśli! Dałabym se tę rękę uciąć. A ileż miała?

— Nieco lepiej niż w trzynastym roku!

— Jezus Marya! I przystojnej urody!?

— Kwiatuszek moja pani a przylepny! Slepiami mrugnie i co chcieć z jejmością uczyni.

Pani Madejowej oczy wilgocią zaszły.

— Już pan Pietrz nie rozpowiadaj, bo mnie żałość rozbierze do cna! A jak na nią?

— Antoszka!

— Akurat byłoby. We dwoje pewnie, że raźniej, bo jedno drugiemu folguje, kiedy trza. Lecz, gdzie dwoje osiędzie, tam do trzeciego im pilno. Sprawiedliwie, a nie zawsze, co się człeku majaczy. Nie wymawiający mój nieboszczyk krzepki był a nie zdarzyło się... to jest i owszem...

Wtem miejscu pani Madejowa zachłysnęła się czegoś, lecz nie tracąc rezonu, zakonkludowała.

— Cóż, byłoby z Antoszką żwawsze gospodarstwo.

— Byłoby! — mruknął Dziurbacki, któremu domysły Madejowej o niegodziwościach Cydzika kamieniem zaległy.

— Choć by pod ziemią a musimy ją znaleść! Tak i... i... co jeszcze powiem, że dopóki niebożątka nie wykryjemy, o ślubie naszym ani mowy!

— Prawdziwie! — przyznał wachmistrz.

— Tak, panie Pietrzuś! — dodała ciszej pani Madejowa. — Żebyś nie wiem jak, najpierw ją musimy. Inaczej spokoju bym nie miała. Juści nie żadnam dzierlatka, jeno niewiasta stateczna, tedy ci całusa bronić nie mogę, ale co i tyla...

Obcasy pani Madejowej zakołatały niepewnie w skrzynię. Dziurbacki spojrzał z podełba na babę, lecz tuż przyłapały go błyszczące źrenice.

— Uch!... A pan Pietrz to zaraz jak smok zgłodniały! Jużby się naprzykrzał?... Hę, co?!...

— Niby ja!? — stęknął profos, do reszty zbity z pantałyku swywolnem poszturchiwaniem.

— A któż?! Król Salomon!? Pilno jegomości! Żeby całe miasto przyszło zbobrować, nie zmitrężę. Myślisz, że radam zwlekać! No, no, moja głowa. Nie bój się, siostrzanka nam podruchnuje. Będziem ją mieli, będziem! Tymczasem stancyę obok się wyporządzi. Uch! Jak się toto patrzy! Przeciem nie podskok, co gdzie nie ma czego, tam się strachal Toć nawet pasuje! Niech że Pietrzuś oskomy próżnej sobie nie czyni, bom i ja nie żadna drzewiana...

Tu pani Madejowa kiwnęła się melancholijnie a usta jej przypięły się chciwie do twarzy Dziurbackiego.

— Dla Boga, mospanie! Toć układ...

Baba mlasnęła ze smakiem.

— Uch, jaki toto smok!

XI.

Jeszcze Warszawa nie zdołała rozczmychać się z utrudzenia po fecie w Saskim Ogrodzie, jeszcze brzmiały jej w uszach zapamiętałe wiwaty, gdy już wieść niepojęta, niesłychana poraziła ją, wstrząsnęła do głębi.

Generał Krukowiecki, generał-gubernator stolicy, najstarszy rangą niemal z pośród generalicyi, po naczelnym wodzu pierwszy wojska polskiego dygnitarz, człek gorącego serca, jeden z tych, co na zawołanie rewolucyi, bez wahania, za nią się oświadczył, ulubieniec ludu, gwardyi narodowej faworyt — odprawiony, usunięty, aresztowany!

Jakiem prawem, jaką mocą, kto i za co ważył się na gwałt taki, na tak niegodziwy zamach!

I zakotłowało się w pisemkach. Kawiarnie „Honoratka" i „Dziurka" zawrzały od sejmikowego zgiełku. Towarzystwo patryotyczne huknęło na alarm.

Ostatniego sprawiedliwego pogrążono za to, że im prawdę do oczu powiadał, że niedołęstwo im wytykał, że sprawy bronił a nie rządzącej kliki, nie kunktatorów, nie gubicieli!

Krukowiecki im bruździł, on trzymał na mundsztuku rejencyjne ambicye księcia Czartoryskiego, on przeszkadzał knowaniom dyplomatycznym, on wymawiał Skrzyneckiemu prowadzenie mataczyn cichych z Dybiczem.

Krukowiecki był jedynym, co po imieniu rzeczy nazywał, nie pozwalał tumanić obywateli, nie pozwalał fałszować klęsk na wygrane bitwy, nie pozwalał narodu oszukiwać.

Krukowiecki był tym ostatnim generałem, któremu Towarzystwo patryotyczne mogło ufać, że dźwignie żagiew rewolucyi, że porwie lud i nakoniec jego panowanie ustanowi.

I tego właśnie męża, tego bojownika zbyto, pohańbiono, odebrano mu szpadę, otoczono strażami, niby zdrajcę ojczyzny.

Nie dość było im Szembeka zmarnować goryczą, nie dość intrygami pogrześć Umińskiego, Weysenhoffa, wydać na śmierć niechybną Kickiego i Kamińskiego, Prądzyńskiego do bezczynności zmusić, jeszcze i ten ostatni z Hektorów polskiej Troi im zawadzał.

Lecz nietylko Towarzystwo Patryotyczne i dwie pokrewne mu nastrojem kawiarnie te groźne wywody snuły. Brało w nich udział całe miasto prawie. I posłowie i oficerowie i szlachta i ludek cichy.

Tu i ówdzie stronnicy wodza siły zbrojnej tłómaczyli, że generał Skrzynecki nie mógł inaczej z Krukowieckim uczynić, bo ten za daleko warcholstwo i krnąbrność swoją posunął, że właśnie przyczyną wszelkiego niepowodzenia oręża polskiego był brak subordynacyi, samowola generałów, że Skrzynecki zbyt potężne zamierzenia rozpoczyna, aby je wydać na łaskę fantazyi wręcz wrogiego mu generał-gubernatora.

Obocześnie członkowie Rządu Narodowego, dygnitarze z namiestnikowego pałacu rozkładali ręce na znak przymusu, któremu ulegli. Skrzynecki żądał, domagał się, nastawał, jednego z nich musieliśmy poświęcić...

I kupił się na placach i ulicach ludek na wiece przygodne i układali płomienne mowy i ksiądz Puławski i Czyński i Grodecki i Mochnacki. I tłumy gawiedzi szły wiwatować pod obstawiony strażami pałacyk Krukowieckiego. A srogi patryotów w „Dziurce" obradujących naczelnik, imć pan Korytko, dwakroć zapalczywiej śmierci Czartoryskiego się domagał.

Nadomiar nie wiadomo skąd wszczęły się raptem głuche wieści o wykryciu jakiegoś spisku wojskowego, co miał knuć zgubę rewolucyi, o niechybnych samego wodza układach z feldmarszałkiem, o zdradzie haniebnej, którą gotowali najprzedniejsi, a których nazwiska podawano sobie półszeptem.

Wódz naczelny tymczasem w obozie na Pradze gorączkową rozwinął czynność. Lustrował pułki, wertował raporty, podpisywał nominacye, ślęczał nad mapami, odbywał z Łubieńskim i Lewińskim narady, chwili nie spoczął. Aż sztab wodza naczelnego zdumiał się, aż adjutanci luzakami nie mogli nastarczyć. Ordynans za ordynansem — pędził ich do Zamościa, do Modlina, za Kuflew, pod Kock, nad Wieprz, do Jankowskiego, do Ramorina, od Skarzyńskiego do Milberga, z dywizyi do dywizyi, od pułku do pułku. Adjutanci rwali, co koń wyskoczy, parli na przełaj, ocierając się o kule placówek i podjazdów wołyńskich, wracali zziajani, potem i kurzem okryci, wracali lotem ptaka i wracali witani marsem brwi, grymasem zniecierpliwienia.

Najwyrozumialszy z naczelników, wódz, miłowany przez swych satelitów, troszczący się o nich zawsze, łaskawy a wytworny w każdem odezwaniu, przeistoczył się nagle w mrukliwego, porywczego generała-służbistę, w opryskliwego żołdaka burczymuchę, w bezwzględnego gwałtownika.

Co osobliwsze, że sam Skrzynecki czuł, rozumiał swego zachowania niewłaściwość, rozumiał, iż wszyscy otaczający go czynili więcej, niż mogli, że kuryer do Zamościa w godzinę nie będzie z powrotem, że Jankowski stoi pod Wielkim-Dębem, a nie obok na kwaterze, że Turno odpowiedział mu na to, o co sam go zapytywał, a przecież nie był w stanie władać sobą, panować nad nurtującemi myślami, nad zewem, który mu łomotał pod czaszką: „działaj — dokonaj".

I postanowienie czynu żarło Skrzyneckiego, paliło.

Tylko czyn świetny, znakomity czyn, wiekopomny, zdolen go jest ocalić, zdolen wrócić sieciom nań zastawianym, kłam zadać oszczerstwom. Bez tego czynu po raz drugi już nie podoła rządowym chmyzom. Sponiewierają go, wyprą się, oddadzą na pastwę motłochu Honoratki. Bez tego czynu nie utrzyma dłużej wojska!

Chwili, chwili nie ma do stracenia. Musi runąć, jak piorun, na nieprzyjaciela, żeby, żeby bodaj przyszło samemu poledz. Z bagnetem w ręku pójdzie! Wydrze pięściami zwycięstwo albo Termopile zgotuje ojczyźnie. Wymawiają mu, że dotąd liczył siły Dybicza, że wahał się decydującą rozegrać bitwę, więc będą mieli, czego chcieli. Na jedną kartę rzuci wszystko. Cha, bo i podobno ta jedna karta może wyrokować o łagodności punktów ro-

rozejmu!... Przefrymarczyli, przepolitykowali igańskie zwycięstwo, spodziewali się tureckiej odsieczy, angielskiej floty, francuskich legionów! A teraz w nim szukają winy, że się nie dał w pień wyciąć, że przeciwnika chciał zmordować, przedłużyć wojnę, odwlec godzinę porachunku! Będą mieli, czego chcieli. Ruszy natychmiast, ruszy, całe wojsko porwie, dziesięć pozycyi zaszachuje. Ruszy!

Dokąd?

I Skrzynecki chylił się nad mapami, kędy czarne ćwieki znaczyły rosyjskie stanowiska.

Tu, pod Pułtuskiem, zaległ feldmarszałek — tu od Siedlec czai się Kreutz z Gerstenzweigem, Rosen osłania Brześć. A do Lublina ciągnie Rüdiger. Sierpem idą ku Wiśle. Po za nimi dopiero posiłki, rezerwy, których ani zliczyć, ani ogarnąć. Tu za Niemnem Giełgud z Chłapowskim i Dembińskim, odgrodzeni, oderwani...

Dokąd iść? A iść trzeba, bez mitręgi iść.

I łamał się w sobie Skrzynecki i z szefem sztabu wiódł rozprawy i plany układał i coraz to innej chwytał się kalkulacyi i po czterykroć już dopytywał się o Łubę.

Łuba powinienby już być z powrotem z nowinami o tem, co się w głównej kwaterze feldmarszałka dzieje.

Łuba bowiem najprzemyślniejszym był z polskich szpiegów, bo niby to Dybiczowi służył, niby to znosił mu wiadomości z polskiego obozu, ale juści takie, aby pozór utrzymać i tem bardziej, co należało, naczelnemu wodzowi wypatrzeć.

Łuba już trzy dni, jak się do Pułtuska wybrał i nie wracał.

Skrzyneckiego niepokój zdjął. O przypadek, na forpocztach osobliwie, było nietrudno. Pierwszy lepszy, co gwatowniejszy placówka mógł, nie czekając wyjaśnień, kulą potraktować nieocenionego człeka.

Troska Skrzyneckiego o Łubę poszła rykoszetem. Dwa plutony ułanów rozpędzono do wedet i rekonesansowych pikiet z zapytaniami, czyli gdzie nie widziano Łuby, *alias* niewielkiego człeczka z zadartym nosem, kozią bródką, jednokonną podróżującego biedką.

Pod wieczór Skrzynecki nakazał wymarsz do Wiązowny.

Generał Turno z drugą dywizyą jazdy wyciągnął w niespełna dwie godziny, za nim tuż jęła dźwigać się pierwsza dywizya piechoty Rybińskiego.

Praga zabrzmiała głuchem dudnieniem tarabanów, zawodzeniem trąbek, szczękiem, łopotem kopyt końskich.

Skrzynecki lżej odetchnął.

Nie miał jeszcze planu, nie zdecydował się jeszcze na posunięcie, lecz już rozpoczął grę, bo i tak, czy tu, czy owdzie wypadnie maszerować. Wiązowna jest punktem wyjścia najprzedniejszym, gdyby nawet samego Dybicza należało w pułtuskiem legowisku szachować okrężnym ruchem.

Lecz to niejakie uspokojenie wodza nie trwało długo. Około północy, jakby silniejszy paroksyzm gorączki nań naszedł, może pod wpływem pisemek warszawskich, których mu cały zwój przywieziono, dość, że jak stał wskoczył do powozu, na Lewińskiego podszefa sztabu skinął, aby z nim siadł i kazał do Wiązowny się wieść. Stało się to tak prędko, że eskorta musiała szarżować, aby dogonić generała. Za przykładem Skrzyneckiego, rad nie rad, musiał pójść Łubieński, sztab, polowa kancelarya, tabor cały głównej kwatery.

A pojazd generała pruł tymczasem mrowie maszerującej piechoty, wymijał bataliony, pułki, brygady i pędził w obłokach pyłu, witany chrapliwemi komendami, chrzęstem karabinów i tępymi okrzykami salutujących oddziałów.

W pobliżu Wawra pojazd Skrzyneckiego zdołał dobyć się z fali piechoty. Konie wpadły w równego kłusa. Eskorta miarowym zabrzmiała chrzęstem i tupotem.

Las, który teraz już z obu stron drogę bramował, jął echami wtórować a chwiać czarnymi grzebieniami sosen, a żywicznym oddechem muskać jadących.

Wódz naczelny poprawił się nerwowo na siedzeniu.

— Żeby jeno Łubę wyprawić do mnie, gdyby się zjawił.

— Niechybnie, generale.

— Gotowi zmitrężyć.

— Nie sądzę.

— Lepiej się zabezpieczyć. Wypraw pułkownik na wszelki przypadek ordynansa.

Lewiński zakrzyknął na woźnicę, aby stanął i podporucznika z eskorty wysłał na Pragę.

Pojazd znów się potoczył.

— Ta ostrożność nie zawadzi — rzekł Skrzynecki. — W zamęcie gotowiby o najważniejszem zapomnieć. A do kaduka! Łuba dyablo nam potrzebny.

— Myślę, że nad ranem przyjdzie wiadomość z rekonesansów dywizyi generała Jankowskiego...

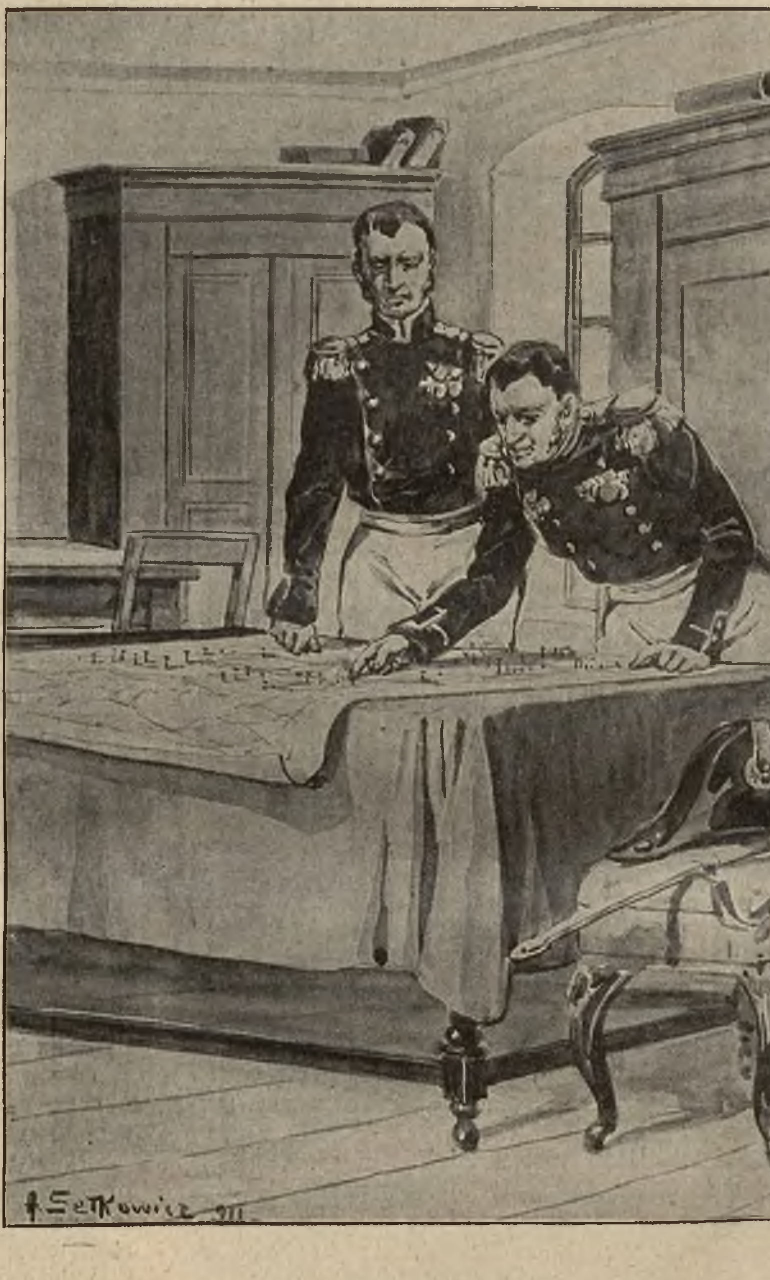
— Dużo się dowiemy...

— Ramorino także języka dostanie...

— Języka! I cóż nam z języka przyjdzie! Domysły! Zgadywania! Błędne wywody. Podczas gdy Łuba daje treść niezawodną, daje grunt!

— Lecz może nietylko nam!

— Cóż znowu! Skądże!



I Skrzynecki chylił się nad mapami.

— Bo przecież nie byle czem musi skupywać sobie wolny przystęp do rosyjskich pozycyi!

— Tak, ale nadewszystko nam służy. Powiada to, o czem i bez niego wiedzą.

— Gdyby nawet, generale, utwierdził ich w tem, czego się domyślają, co zgadują, może nam więcej szkody niż pożytku przyczynić.

— Więc pułkownik Łuby nie znasz! Patryotą jest i zagorzalcem nawet! Dziesięć kroć razy się przekonałem. Nie dla pieniędzy donosi nam...

— Tem gorzej, generale.

— Bardzo go powierzchownie sądzisz!

— Szpieg!

— A, zapewne. Możesz pułkownik, cale słusznie, dowieść, że choćby dla ojczyzny podjęte szpiegostwo honoru nie przynosi, ale na wojnie i tacy są potrzebni, niezbędni.

— Prawda, generale, lecz...

— A nie, już mi pułkownik nie powiadaj o Łubie. Wcale cię nie namawiam na szacunek dlań, na estymę. Ale wiary mu odmawiać nie masz prawa. Toć i Napoleon bez takich robaków nie mógł się obyć! Cnoty w Łubie nie widzę, tylko tę, jak mówię, zajadłość. Łasica nie z poszczucia na kunę napada, lecz z własnego charakteru. Łuba! Wiesz, pułkownik, jaki jest Łuby prawdziwy niedostatek? — że niema takiego drugiego. Plan, plan! Byle maruder nieprzyjacielski, wzięty na spytki, który na oczy nie oglądał Dybicza i dopiero zabawa w ciuciubabkę! Wiesz, kto do wygranej pod Wielkim-Dębem się przyczynił!? No, nie mówmy! Przekonasz się, jeżeli nieborak żyw, niedługo zmienisz zdanie.

Tu naczelny wódz urwał i ani słowa do samej Wiązowny się nie ozwał. Lewiński nie ważył się przerwać milczenia Skrzyneckiego czy drzemki, do której monotonny ruch powozu i podszefa sztabu zresztą mocno usposabiał.

Dopiero kiedy na polanach przydrożnych ukazały się biwaki obozującej kawaleryi, a w oddali tuż niespokojne światełka, mrugające w ciemnych kadłubach przyziemnych domostw, Lewiński pochylił się do Skrzyneckiego:

— Wodzu-generale, jesteśmy na miejscu!

— A — dobrze!

— Wypadnie zatrzymać się w karczmie, choć bodaj że w pobliżu jest dwór...

— Nie trzeba — główna kwatera w Wiązownie — odparł cierpko generał.

Lewiński nieco zdziwił się temu oświadczeniu, ile że wódz naczelny miał wstręt do niewygod, ale bez słowa, skoro tylko pojazd zatrzymał się przed karczmą, ruszył naprzód ład czynić, oficerów kawaleryi, którzy izbę zalegali, płoszyć a wydawać rozkazy ku ogarnięciu przystojnemu dla generała bodaj jednej komnatki.

Karczmarz jął się uwijać a krzątać. Lewiński sumitował się zań wodzowi:

— Niefortunnie tu będzie. Możeby lepiej na plebanię?

— Tu zostanę.

— Według rozkazu. Izdebka będzie wnet gotowa. Jeżeliby więc pan generał, zanim bagaże nadejdą, chciał spocząć...

— Dziękuję. Najpierw kto tu trzyma załogę? Jankowski raportował, że zostawił część korpusu?

Lewiński wybiegł do eskorty i ordynansów rozesłał.

W kilka chwil stanął przed Skrzyneckim podpułkownik Butrym i zameldował się:

— Szef sztabu korpusu generała Jankowskiego...

Wódz skrzywił się niechętnie.

— Podpułkownik tutaj, nie przy korpusie...

— Wyprawiałem ostatnią brygadę a że spodziewaliśmy się rozkazów...

— Rozkazów! Więc Jankowski w Dębem?

— Kwateruje w Duchnowie, z tej strony Mieni. Generał Milberg ku Mińskowi wysunięty. Szwadron strzelców konnych byłej gwardyi starł się dzisiaj za Kałuszynem z oddziałem kozaków. Wzięliśmy dziesięciu niewolnika. Rüdiger jest już w Lublinie. Kreutz aż za Łuków wysyła rozjazdy.

— Proszę — hm! — Pułkowniku, należy to natychmiast na mapach oznaczyć.

Lewiński skinął na oficera służbowego, aby mu pomógł w dobyciu map z blaszanych puszek.

— A jakże generał Jankowski?

— Zdrowszy, dosiada konia.

— Bardzo dobrze. Więc zatrzymasz się podpułkownik tutaj. Jutro zobaczymy! Wyślij, co zostało wojska, by nas za wiele nie było...

— Pozostała tylko baterya konna pułkownika Bema...

— A!

— Co do której nie mieliśmy dyspozycyi, czyli ma pozostać przy dywizyi generała Milberga...

— Pan pułkownik Bem?

— Czeka, wodzu-generale, na rozkazy.

Skrzynecki uśmiechnął się sarkastycznie.

— No, no, jakiż to zeń służbista!

— Czy mam wezwać?

— Niech czeka! — rzucił przez zęby Skrzynecki i jął przechadzać się gorączkowo po komnatce.

Butrym a za nim Lewiński i adjutant służbowy wysunęli się na palcach do izby gościnnej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teatr huculski w Krakowie.

Sympatyczną drużynę aktorów-amatorów gościł w tym tygodniu Kraków. Przybyli tu mianowicie w swojem tournée huculi z pod Żabiego, zorganizowani w trupę amatorską i urządzający w większych miastach galicyjskich przedstawienia teatralne.

Huculi wspomniani pochodzą ze wsi Krasnoiły, Hołowego i Żabia. Przed paru laty zorganizował z pośród nich trupę amatorską literat ukraiński Hnat Chotkiewicz, a przedstawienia, dawane przez nich w najbliższej okolicy, cieszyły się zawsze wielkiem powodzeniem. Zachęceni tem Huculi wybrali się pod przewodnictwem obecnego swego reżysera, literata Ołeksy Remeza, w dłuższą wędrówkę po Galicyi, gdzie wystawiają znaną ogólnie sztukę Korzeniowskiego „Karpaccy górale“ w przekładzie ruskim.

Zaznaczyć tu zaś należy, że akcya dramatu Korzeniowskiego rozgrywa się właśnie w tych okolicach, skąd pochodzą ci aktorowie, tj. w okolicach Żabiego, że nadto w trupie tej występuje dwoje potomków bohatera dramatu, Rewizorczuka, że wreszcie jeden z członków trupy posiada oryginalny huculski pas Rewizorczuka.

Wogóle oryginalność i barwność strojów huculskich, wcale dobre, jak na amatorski włościański teatr, wykonanie sztuki, zwłaszcza zaś pełne temperamentu tańce góralskie, mianowicie taniec opryszkowski, zapewniają trupie powodzenie, które też towarzyszy jej wszędzie, gdzie występuje.

W Krakowie odbyły się dwa przedstawienia „Karpackich górali“ w sali saskiej, którą w oba dni zapełniła publiczność polska i ruska, oklaskując żywo sympatycznych amatorów.

Odznaczenie popularnego oficera.

Przed kilku dniami odbyła się w Przemyślu, w koszarach 10. pułku przy ulicy Słowackiego uroczystość wręczenia komendantowi tego pułku, pułkownikowi Schatzlowi, orderu Żelaznej Korony trzeciej klasy. Wysoką tę dekoracyę zawdzięcza ozdobiony nią zarówno swym zdolnościom i pracy, jak niezwykłej popularności, którą zjednał sobie pośród oficerów i żołnierzy. To też dzień jego odznaczenia był dla załogi przemyskiej prawdziwem świętem.

Przed frontem całego pułku i delegacyi wszystkich pułków korpusu dziesiątego przemówił do p. Schatzla w zastępstwie generała dywizyi generał-major Linhart po niemiecku, a jeden z podwładnych oficerów przełożył słowa jego na język polski, poczem nastąpiła defilada pułku przy dźwiękach muzyki.



Obraz za półtrzecia miliona koron: „Wiatrak“ Rembrandta, wystawiony w Londynie na sprzedaż. (Do artykułu na str. 4).

Marya hr. Kwilecka.

Na koncercie w sali teatru Apollo w Poznaniu, wystąpiła po raz pierwszy publicznie młoda śpiewaczka polska, hrabianka Marya Kwilecka i już pierwszym swym występem zdobyła zgodne uznanie krytyki i publiczności. Głos utalentowanej artystki, głęboki kontralt, odznacza się zwłaszcza w tonach niskich nadzwyczajną pięknością, szlachetnem, metalicznem brzmieniem i nadaje się przedewszystkiem do aryi o akcentach dramatycznych. Doskonała szkoła, wyraźna dykcya i wyborne warunki zewnętrzne, zapewniają młodej śpiewaczce piękną przyszłość.

Na wspomnianym koncercie wykonała hr. Kwilecka szereg pieśni Giordani'ego, Beethovena, Saint Saënsa i Meyerbeera, nadto całą wiązankę pieśni polskich. Publiczność oklaskiwała śpiewaczkę serdecznie i obrzuciła ją kwiatami, dziękując za prawdziwą biesiadę artystyczną, jaką jej śpiew hr. Kwileckiej zgotował.



Teatr huculski w Krakowie: Grupa amatorów-huculów z pod Kosowa, z reżyserem O. Remezem w pośrodku

Kronika tygodniowa.

W chwili, kiedy ukaże się niniejsza kronika, Wielki Kraków będzie już posiadał pewną ilość nowych wielkich radców. Niestety kronikarz nie może nietylko nawet przewidzieć, czyje godne nazwiska uzyskają większość w urnie wyborczej, ale nawet wogóle nie wie, kto się pcha lub kogo do tej urny pchają „przyjaciele polityczni". Charakterystyczną bowiem cechą tegorocznych wyborów jest zupełna tajemniczość. Radzą wprawdzie różne grupki i grupięta, kliki, kliczki i kliczęta, ale wszystko to się odbywa po cichu — wiedzą o tem coś pewnego tylko kandydaci i hyeny wyborcze. Są tylko dwa wyjątki: na przedmieściach wre walka i odchodzi kiełbasa wyborcza, a drugi wyjątek stanowią żydzi, zwołujący wciąż zebrania i walczący w szeregach dwu armii: kahału i żydów niezawisłych. Dzienniki notują skwapliwie przebieg utarczek i większych potyczek przedmiejskich, dzięki czemu dowiadujemy się nazwisk kandydatów na ojców miasta, ale te nazwiska (z jednym tylko wyjątkiem) nic nie mówią, bo noszą je wielkości, znane tylko na Prądniku, Zwierzyńcu, Czarnej Wsi, Łobzowie i t. d. (zresztą ci „ojcowie" wyjdą już z urny, zanim kronika się ukaże). Co do kandydatów żydowskich, niektórzy wstąpili już w szranki wojny plakatowej (dr. Peiper, dr. Drobner), inni dopiero radzą, ale nie tajnie, lecz publicznie, jak świadczy sprawozdanie z zebrania żydów niezawisłych. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, iż niezawiśli, lubo są towarzyszami broni t. zw. demokratów krakowskich, umieją przecie ich należycie ocenić. Oto poseł Landau, zawdzięczający swój mandat sejmowy tylko demokratom, *urbi et orbi* głosi, że choć demokraci dzierżą losy miasta, nic się nie zmieniło, bo „ci sami ludzie stoją na czele, z tą tylko różnicą, że dawniej nazywali się konserwatystami, a teraz nazywają się demokratami". Nie oni też, ale żydzi niezawiśli (mówił dalej dr. Landau) „wprowadzili w życie ideę demokratyczną!! reprezentanci nasi pierwsi mówili jawnie o żydach... żądali równouprawnienia, podnosili żądania rękodzielników i nauczycieli żydowskich... W radzie miejskiej jest dużo do zrobienia, lecz zaostrzyły się stosunki, bo przez przyłączenie przedmieść żydzi stali się jeszcze znikomszą mniejszością". Radca Schmelkes cieszył się „ze zwycięstwa żydów do parlamentu (Gross) i do sejmu (dr. Landau), co jest zaszczytem dla Krakowa". Radca Heuman „dumny jest z działalności wychowawczej żydów niezawisłych"; są oni „wzorem dla Galicyi zachodniej". „Owacyjnie witany" poseł Gross mówił o potrzebie uświadamiania politycznego, „aby nasza idea zwyciężyła", aby „nie wróciły stare czasy", w których za głosy płacono. Wzywał do głosowania solidarnego, bo tu „nie o ludzi idzie, ale o programy". Dalej przedstawiali mówcy swój program ekonomiczny i co dla niego zrobili. I trzeba przyznać, że żydzi niezawiśli stanowią jedyne stronnictwo, które wie, czego chce i konsekwentnie dąży do urzeczywistnienia swego programu politycznego i ekonomicznego. A programem ich ekonomicznym jest przedewszystkiem: poprawienie losu biednej ludności żydowskiej.

Jaki program mają demokraci, trudno dociec z ich odezwy, ogłoszonej do wyborców. Wprawdzie zaznaczają, że należy zmienić przestarzały statut (ciągle o tem gadają od lat sześciu, a nie zmieniają go), że trzeba walkę wytoczyć drożyźnie (mieli na to cały szereg lat, a nic w tym kierunku nie uczynili), że należy budować kanały (o tem nie decyduje Kraków, lecz Wiedeń), że powinna rada przystąpić do inwestycyi (jakich? o tem ani mru mru) — jednem słowem jest to czcza gadanina, którą mógłby podpisać zarówno najkonserwatywniejszy z konserwatystów, jak najsocyalistyczniejszy z socyalistów. Odezwa ta prawdopodobnie powstała wskutek zerwanego nagle kompromisu demokratów z komitetem urzędniczym. Demokraci godzili się z musu, aby na 10 kandydatów z kuryi inteligencyi było 8 urzędników, ale chcieli mieć wpływ na stawianie tych kandydatów, w odpowiedzi na co komitet urzędniczy zerwał stosunki dyplomatyczne i poszedł własną drogą, która je doprowadziła *ad absurdum*, t. j. do wyboru podług dykasteryi. Komitet był tak łaskaw, że raczył przyznać jeden mandat profesorowi uniwersytetu i jeden duchownemu katolickiemu; ciekawa rzecz, czy profesorowie uniwersytetu i księża wysłuchają p. Bilińskiego i zbiorą się, aby wybrać swych przedstawicieli, jak to czynią urzędnicy pocztowi, kolejowi i t. d. Ażeby być w zupełnym rozbracie z logiką, komitet dwa miejsca, zostawione dla inteligencyi wolnych zawodów, ma podobno obsadzić pewnym żydem urzędnikiem i jednym półurzędnikiem autonomicznym (pobiera pensyę krajową), który to półurzędnik, obrońca strajku młodzieży uniwersyteckiej, występował najgwałtowniej przeciw... zawiązaniu komitetu urzędniczego. Czy takie nominacye będą rzeczywiście, nie wiem, ale fama powszechna tak głosi.

Przy takich demokratycznych pojęciach komitetu urzędniczego (demokracya prawdziwa nie pyta: kto jesteś, tylko: jaki jesteś?) nie weszliby dziś do rady z łona inteligencyi Zyblikiewicze, Weigle, Rydzowscy, Asnyki, Romanowicze, Wyspiańscy, a Helcle, Dietle, Tarnowscy, Jordany, Rottery mogliby dostać się po jednemu nie na mocy swych zdolności i zasług lub innych kwalifikacyi, lecz jako urzędnicy, przedstawiciele dykasteryi.

Nie był wprawdzie radcą, bo się o to nie starał, ale dziś, choćby chciał, nie mógłby nim być i ś. p. Walery Gadomski, bo był tylko... rzeźbiarzem, a artystów inteligencya komitetu urzędniczego uznawać nie raczy. Co do biedaka Gadomskiego, to go również nie raczyła uznać prasa, podając zaledwie krótki i suchy jego nekrolog — a raczyła o nim zapomnieć i P. T. publiczność, nie wyłączając artystów, bo u trumny jego dla oddania ostatniej posługi stanęło zaledwie osób kilkanaście. Nie był to zapewne ani Fidyasz, ani Praksyteles, ani Michał Anioł, ani Donatello, ani Canova, ale wśród naszego skromnego rzeźbiarstwa zajmował bądź co bądź jedno z miejsc wybitniejszych. Wspomniano o jego Koperniku i pracach podrzędnych (jak o Zygmuncie Auguście i Sobieskim), a zapomniano o ładnej Herodyadzie, o pięknym biuście Alfredowej Potockiej. Zapomniano, że kiedy Matejko podał projekt na pomnik Mickiewicza, wybrał do jego wykonania Rygiera i Gadomskiego, uważając ich widocznie za dobrych rzeźbiarzy. Zapomniano, że własny projekt Gadomskiego na pomnik wieszcza uważano za jeden z najlepszych. Zapomniano, że kiedy ze składek zebrano fundusz na pomnik Piusa IX., jemu powierzono jego wykonanie. Zapomniano, że między jego uczniami byli tacy, jak Kurzawa i Madejski. Jak nie pamiętano o artyście, tak nie pamiętano i o człowieku, o przyjacielu Grottgera, Matejki, o żołnierzu z pod Kobylanki. Zapomniano i o ciężkich jego przejściach życiowych, bo ktoby tam pamiętał o biednym ślepcu, w zakładzie Helclów zostającym! Znano go, kiedy mu się powodziło, a kiedy powodzenie znikło, znikli i przyjaciele, co go tak niegdyś cenili za dobry humor, za niepośledni dar opowiadania o rzeczach i o ludziach, drogich sercu polskiemu. Nie wiedzianoby nawet, jak wyglądał, gdyby nie *Nowości*, które podały jego portret z akwareli Fałata — pismom illustrowanym warszawskim, portretującym byle kogo, zabrakło miejsca dla portretu Gadomskiego. Nieszczęsne losy człowieka udzieliły się i jednemu z jego dzieł wybitnych. Po wykonaniu pomnika Piusa IX. kłócono się długo, gdzie go ustawić. Nie puszczono go na Wawel i schowano do paki. I już trzydzieści lat, jak Pius IX. spoczywa w pace, jakby nie było w Krakowie kościołów. Krzywda to tak dla twórcy pomnika, jak i dla wzniosłej pamięci serdecznego przyjaciela i obrońcy naszego narodu, jakim był Pius IX. Dla niego niema miejsca, ale jest miejsce dla osób, które nie zdobyły sobie żadnych praw, aby ich kute w marmurze posągi ozdabiały wnętrza świątyń. Idźcie do kościoła św. Piotra, a zobaczycie tam obok Skargi Sosnowskiego, w naturalnej wielkości postać... Ozdoby Florkiewicza! Przy sposobności warto się zapytać, co słychać z pomnikiem niezapomnianego filantropa dra Jordana? Jest jakiś komitet, były jakieś śladki — a pomnika jak niema, tak niema.

Filantropia zaś u nas, na chwałę naszego społeczeństwa, może się, jeżeli nie codzień, to co tydzień, poszczycić nowymi faktami. Zaledwie w poprzednim numerze *Nowości* złożyłem hołd kilku fundacyom i zapisom, a już rubryka darów na rzecz dobra publicznego powiększyła się o dwie pozycye. Oto p. Jakób Herman we Lwowie złożył dar wynoszący koło 200.000 koron na bursę rzemieślniczą dla młodzieży polskiej i żydowskiej, a w Warszawie, zawsze przodującej na polu ofiarności, ks. Radziwiłłowa, wdowa po ks. Michale, zakłada kosztem miliona rubli gimnazyum polskie na Pradze. Brawo! nawet najzawziętszy, ale uczciwy polski demokrata, musi sobie życzyć, aby taka arystokracya na kamieniu się rodziła.

Tenże sam demokrata jednak z obrzydzeniem patrzeć będzie na taki wstrętny objaw walki stronnictw, jaki się zaznaczył z powodu odczytów w Galicyi posła do dumy, chłopa Nakoniecznego. Wiemy z telegramów, jak rzucili się na niego Puryszkiewicze, ale to jest w porządku, nikt temu dziwić się nie może. Czytajcie jednak, co o Nakoniecznym pisze organ ludowców: *Przyjaciel ludu*. Ten przyjaciel (?) zohydza Nakoniecznego, chłopa, który dał dowody, że nietylko słowem ale ofiarą wolności, cierpieniem, „tem co boli" gotów bronić naszych ideałów. Ale Nakonieczny jest tak zwanym wszechpolakiem, a więc: huzia na niego! I czyni to organ tego, który zaprawdę nic nigdy nie poświęcił, nic nigdy nie dał, nic nigdy nie „kupił", a brać i sprzedać wszystko zawsze gotów.

Zakończmy kronikę... humorystyką „mimo woli".

Humorystyczną nieznajomość rzeczy wykazał jeden z dziennikarzy krakowskich, który umieścił notatkę o śmierci Galasiewicza, „autora Czartowskiej Ławy i innych utworów granych również w Krakowie". Biedak nie wiedział, że Galasiewicz, urodzony pod Krakowem, w naszem mieście rozpoczął swoj zawód aktorski i na naszej scenie naprzód „Czartowską Ławę" wystawił.

Dobry sobie jest *Kuryer warszawski*, który w telegramie z 1 marca doniósł o odbytych już wyborach do rady miejskiej w Krakowie i o „zwycięstwie bloku narodowego". Tenże *Kuryer* telegramem z Krakowa obwieścił, że w „dniu kobiet" rozlegały się na ulicach krakowskich słowa pieśni: „Ne pora Lacham służyty". Ponieważ i wybory odbyły się we Lwowie i pieśń tę lwowianie słyszeć mieli przyjemność, więc przypuszczać należy, że ktoś mylnie poinformował redakcyę *Kuryera*, jakoby przy tworzeniu Wielkiego Krakowa gminę lwowską przyłączono do naszego grodu.

Radykalny środek na przeciwników politycznych wynalazł wspominany już powyżej *Przyjaciel ludu*. W ostatnim numerze jego jest wzmianka, że do czytelń Tow. Sz. Lud. przyjeżdżają z odczytami panowie i prelegentki. A po tej wzmiance rada: jeżeli ci panowie mówią coś naukowego, z gospodarstwa, z historyi, to ich wysłuchajcie, ale gdyby coś mówili na Stapińskiego, to pędźcie ich kijem!

Podręcznik do pisania grzecznych listów ma wydać p. Feliks Jasieński. Jeżeli komu się np. nie podoba coś takiego, co się podoba dajmy na to dyr. Nowowiejskiemu, to radzi pisać: jesteś pan świ... albo idyotą!

Do tych najświeższych „nowości" dołączamy autentyczną rozmowę jednego z obywateli Krakowa z agitatorem wyborczym p. R.

— Przyszedłem do pana dobrodzieja z prośbą — mówi ów R.

— Czem mogę służyć?

— Żona pana dobrodzieja ma prawo głosowania przez zastępstwo.

— Tak jest.

— Otóż prosiłbym, aby była łaskawa i karty swej mi udzieliła.

— Co za szkoda, że pan się spóźnił. Wiem bowiem, że jej karta znalazłaby się w najodpowiedniejszych rękach, ale cóż robić, kiedy już kartę głosowania w mniej odpowiednie ręce złożyła.

— O! to nic nie szkodzi. Proszę mnie tylko upoważnić do jej odebrania. W czyjeż ręce karta się dostała?

— W moje, łaskawy panie.

Tableau! — jak niegdyś pisano, kiedy kto zrobił głupią minę.



Tryumf polskiego posła: Ks. proboszcz Józef Wajda, poseł do parlamentu niemieckiego z powiatów Pszczyńskiego i Rybnickiego.

Trzydziestolecie wytrwałej pracy.

W ubiegłym tygodniu obchodził Kraków trzydziestolecie pracy naukowej w Akademii Umiejętności znakomitego naszego przyrodnika, radcy rządu, profesora dr. Władysława Kulczyńskiego. Oddano w ten sposób zasłużoną cześć człowiekowi, który całe swe życie i całą niespożytą energię oddał na usługi nauki, który sławę polskiego imienia rozniósł szeroko poza granicami kraju i zdobył sobie rozgłośne uznanie wśród przyrodników. Podpora i dusza prac fizyograficznych naszej Akademii, wykształcił szereg pokoleń, wzbudził zapał do poważnej pracy i pokierował umiejętnie młodszem pokoleniem badaczy.

Dziecko Krakowa, tu się bowiem urodził w roku 1854 i wykształcił, tutaj następnie pełnił obowiązki profesora historyi naturalnej w gimnazyum świętej Anny a potem w gimnazyum św. Jacka. W uznaniu zasług na polu naukowem Uniwersytet Jagielloński ofiarował mu honorowy doktorat filozofii, w roku zaś 1909 mianowano go docentem.

Profesor dr. Władysław Kulczyński zyskał sobie europejską sławę epokowem dziełem: O pająkach węgierskich. Wywołało ono przewrót w dotychczasowych badaniach nad pająkami. Uczony przyrodnik pracował nad niem niezmordowanie przez lat dwanaście, gromada bowiem pajęczaków jest jedną z największych. Na świecie żyje około dwadzieścia tysięcy ich odmian. W samej Polsce jest około ośmiuset gatunków. Naukę o pająkach posunął prof. Kulczyński o olbrzymi krok naprzód, sam zgromadził w swych zbiorach około 5.000 rozmaitych ich odmian. Dzięki tej prawdziwie benedyktyńskiej pracy zyskał sobie Jubilat imię najwybitniejszego arachnologa w Europie.

Uroczystość uczczenia znakomitego uczonego odbyła się w auli uniwersyteckiej dzięki staraniu Akademii Umiejętności, pragnącej w ten sposób dać wyraz uznaniu dla swego członka i trzydziestoletniego sekretarza i kustosza komisyi fizyograficznej. W tem święcie polskiej nauki wzięli udział członkowie Akademii z prezesem swym Stanisławem Tarnowskim, profesorowie uniwersytetu, członkowie komisyi fizyograficznej, polscy przyrodnicy, oraz uczniowie Jubilata.

Pierwszy zabrał głos prezes Akademii hr. Stanisław Tarnowski, po nim, jako reprezentant wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii wręczył prof. Godlewski Jubilatowi pamiątkowe album, w którem pomieszczono fotografie członków Akademii, kolegów i przyjaciół z własnoręcznymi ich podpisami. Ponadto przemawiali prof. Raciborski imieniem komisyi fizyograficznej, prof. Romer jako delegat Tow. im. Kopernika, prof. Szajnocha imieniem Tow. Tatrzańskiego, prof. Nowak imieniem krajowego Tow. Rybackiego, p. Mierzejewski imieniem kółka przyrodników i jako były uczeń Jubilata prof. dr Wł. L. Jaworski.

Wzruszony do łez podziękował Jubilat za wyrazy życzliwości i uznania. Odczytanie nadesłanych na uroczystość pism i telegramów zakończyło obchód, który miał niezwykle podniosły nastrój i pozostawił po sobie trwałe wspomnienie.

Tryumf polskiego posła.

Jednym z przedstawicieli narodu polskiego w parlamencie niemieckim, jest ks. Wajda, proboszcz parafii Kielcz w powiecie Wielko-Strzeleckim na Górnym Śląsku.

Po złożeniu mandatu poselskiego przez ks. Skowrońskiego, polski komitet wyborczy dla braku innego kandydata zwrócił się do ks. proboszcza Wajdy ofiarowując mu opróżniony mandat. Początkowo wahał się on podjąć tak trudnego obowiązku, nie chcąc jednak zostawić komitetu w kłopocie o kandydata i usuwać się od pracy publicznej, przyjął nowy ten urząd na swoje barki i z całem poświęceniem sprawuje go. Praca to ciężka i trudna, ale dla księdza posła przykrą nie jest, bo podjętą została z miłości do ludu.

Dotąd nie występował ks. Wajda publicznie z mownicy parlamentarnej, ale zato bardzo czynny brał udział w obradach rozmaitych komisyi. Ze szczupłych dochodów utrzymuje ks. poseł własnym kosztem synów biednych rodziców polskich w szkołach wyższych. Zajmuje się też bardzo gorliwie losem polskich robotników, zajętych w rozmaitych przedsiębiorstwach górniczych i hutniczych na Górnym Śląsku.



Trzydziestolecie wytrwałej pracy: Znakomity polski przyrodnik, profesor dr. Władysław Kulczyński.

Gdy w czasie jednego z posiedzeń parlamentu niemieckiego w ubiegłym tygodniu zapisał się ksiądz poseł do głosu, sądzono, że jego mowa przebrzmi bez najmniejszego wrażenia. On sam widocznie żadnego nie spodziewał się sukcesu, ponieważ z góry prosił tylko o „dziesięć minut cierpliwości“ dla swych wywodów, był nadto silnie zdenerwowany.

Tymczasem stała się rzecz nieoczekiwana. Z początku hałas przygłuszał jego słowa, po chwili uci-



Demonstracye właścicieli winnic: Scena z przed ratusza w Bar-sur-Aube.

szyło się, a posłowie pojedyńczo, potem grupami, wreszcie tłumnie obstąpili mownicę. Jakiś dziwny urok, bijący ze słów mówcy, powstrzymał w połowie drogi tych, którzy już opuszczali salę. Widocznem było, że przez jego usta przemawia cała tragedya polskiego ludu górnośląskiego, jego bieda, ucisk i okropna dola. Dziesięć minut zamieniło się w godzinę, nikt nie domagał się końca, każdy słuchał z naprężeniem słów kapłana, występującego w obronie swego ludu. Gdy skończył, huczne odezwały się oklaski, ze wszystkich stron winszowano mowcy niebywałego sukcesu. Nawet hakatystyczna *Deutsche Tageszeitung*, podając sprawozdanie z posiedzenia, nazywa wystąpienie ks. posła Wajdy: fizycznie i retorycznie interesującem zjawiskiem.

Ks. proboszcz Józef Wajda urodził się 19 marca 1849, wyświęcony został na kapłana w Pradze czeskiej w r. 1876. Podczas słynnego *Kulturkampfu*, był przez dłuższy czas kapelanem domowym w Czerwonej Wsi w Poznańskiem, majątku pp. Chłapowskich. Jest on jednym z tych kapłanów, którzy otwarcie się przyznają do swego polskiego pochodzenia i z ludem polskim szczerze czują i cierpią..

Demonstracye właścicieli winnic.

Konkurencya pomiędzy departamentami Marne i Bar-sur-Aube, tworzącymi dotąd t. zw. okręg Szampański, doprowadziła do tego, że wyłączono z niego Bar-sur-Aube. Ponieważ ten krok ministeryum rolnictwa zadawał ciężki cios producentom wina w tym departamencie, właściciele winnic w nim położonych zaprotestowali przeciwko rozporządzeniu i mieli nadzieję, że zostanie zniesione, że więc nadal będą mogli wyrabiać i sprzedawać szampana. Atoli po zmianie gabinetu nowy minister rolnictwa okazał się im nieprzychylnym, przez co pokrzywdzeni stracili cierpliwość i uciekli się do ostrzejszych środków walki.

Wszyscy urzędnicy municypalni departamentu Bar-sur-Aube podali się do dymisyi i od razu przestali pełnić obowiązki. W ten sposób prawidłowa administracya od razu ustała. Prócz tego urządzono olbrzymią manifestacyę w stolicy departamentu.

Wzięło w niej udział przeszło 10 tysięcy ludzi. Wygłoszono kilka mów antirządowych, podpisywano gremialnie petycye o cofnięcie rozporządzenia ministeryum rolnictwa, gdy jednak — zapewne także w celach demonstracyjnych — poczęto raczyć się „zdyskwalifikowanem“ winem, wzburzenie spotęgowało się i tłum pospieszył przed ratusz. Niesiono tablice z napisami „Szampańczycy, czy Prusacy?“ „Owieczki zmienią się w wilków“ — i innymi w podobnym guście. Przed ratuszem, jak na komendę, wysypano z koszów urzędowe zawiadomienia o wyłączeniu Bar-sur-Aube z okręgu Szampańskiego i na tym na prędce sporządzonym stosie spalono manekina, przedstawiającego prezydenta ministrów Monis'a, który, jako właściciel rozległych winnic w departamencie Marne, ma osobisty interes w pognębieniu firm konkurencyjnych.

Wiele poważnych osobistości francuskiego świata politycznego publicznie oświadczyło się za pokrzywdzonymi właścicielami winnic, a wobec ich groźnej postawy i solidarności przypuszczać można, że rząd będzie zmuszony zdecydować się na uwzględnienie ich protestu.



Marya hr. Kwilecka.

Jupe-culotte na scenie krakowskiej.

Miasto nasze jest wybitnie konserwatywne pod każdym względem, nawet pod względem mody. Każda stolica europejska, każde większe miasto miało już na swych ulicach mniej lub więcej szczęśliwy występ jupe-culotte. Miały go nawet mniejsze miasta galicyjskie. Natomiast w Krakowie co parę dni pojawiają się tajemnicze zapowiedzi, że nazajutrz ukaże się w tem a w tem miejscu miasta ta oryginalna nowość, andrusy gotują się już do energicznej demonstracyi w obronie „godności niewieściej“, ciekawi cieszą się, że na własne oczy ujrzą rzecz, która tyle hałasu narobiła w ostatnich czasach, — a tymczasem jedni i drudzy doznają raz po raz rozczarowania.

Tylko teatr wysoko dzierży sztandar postępu i ratuje honor Krakowa jako grodu europejskiego. Pierwsza p. Górska odważyła się na krok ryzykowny i w przedstawieniu „Króla“, w którym gra rolę p. Bordier, wystąpiła w ładnym kostyumie jupe-culotte, koloru pomarańczowego. Publiczność wynagrodziła artystkę oklaskami — nie było ani śladu nieżyczliwych, ordynarnych demonstracyi, jakie urządzono n. p. w teatrach francuskich i niemieckich. Nawet dotychczasowi przeciwnicy nowej mody przyznali, ze nie taki dyabeł straszny, jak go malują, bo przy umiejętnym wyborze koloru i fasonu, „strój haremowy“ przedstawia się estetycznie i absolutnie nie jest mniej przyzwoitym od spodnicy. Pewien starzec, który specyalnie dla obejrzenia jupe-culotte udał się był do teatru, nasyciwszy swe oczy, rzekł z zadowoleniem: Teraz umrę spokojny.

Na korzyść pani Górskiej można jeszcze dodać, że jej kostyum nie był sprowadzony z zagranicy, lecz był dziełem krakowskiej krawczyni p. Rattlerowej.

Ponieważ tylko początek najtrudniejszy, więc w ślad p. Górskiej poszły zaraz na drugi dzień inne artystki. Pna Morozowiczówna na premierze „Nieznajomego tancerza“ zaprezentowała olśnionej publiczności aż trzy okazy jupe culotte, które również ogólnie się podobały, a pani Krysińska, grająca w tej sztuce rolę „mamy w pretensyach“, wywołała ogólną wesołość, ukazując się w groteskowym kostyumie nowego kroju, fioletowego koloru. Sala trzęsła się znowu od oklasków — i jeżeli Kraków dotąd okazał się mniej postępowym od innych miast, to natomiast jak najlepiej świadczy o jego kulturze, że mieszkańcy miasta naszego zachowali się wobec nowej mody taktownie. Bez wątpienia nie brakło wśród publiczności i jej przeciwników, a jednak nie było skandalów à la Wiedeń lub Budapeszt. Prawda, że była to publiczność teatralna, ale w stolicach tych właśnie teatralna publiczność urządzała rzeczy wprost barbarzyńskie...

Na zakończenie jedna uwaga. Nie rokujemy strojowi haremowemu rychłego zwycięstwa. Oglądaliśmy go dotąd na bardzo odpowiednich modelach, ale zdaje się, że gdy modele będą nieodpowiednie, jupe-culotte wyglądać będzie fatalnie i wywoła efekt celowo osiągnięty przez p. Krysińską. A przecie wiadomo — przebacz płci piękna wogóle, a w szczególności przebacz, Czytelniczko, bo nie do ciebie mówię — nie każda kobieta posiada posągowe kształty i estetyczne ruchy...

Operetka dziecięca.

(Do illustracyi na str. 9).

Ruchliwe towarzystwo „Czytelnia kobiet imienia Słowackiego“ w Krakowie, urządziło w ubiegłą sobotę w obszernej sali swego lokalu przedstawie-



Jupe-culotte na scenie krakowskiej: F. Krysińska w „Nieznajomym tancerzu“.



Jupe-culotte na scenie krakowskiej: F. Krysińska w „Nieznajomym tancerzu“.
(Fot. T. Jabłoński, Kraków).



Jupe-culotte na scenie krakowskiej: Helena Górska w roli p. Bordier w „Królu".

nie amatorskie dla dzieci, wystawiając siłami dziecięcemi operetkę, specyalnie dla malutkich i młodziutkich wykonawców napisaną p. t. „Trutnie".

Autorką libretta jest nauczycielka pna Irena Pniowerówna, znana już ze swych prac literackich, zgrabną i lekką muzykę zaś, zastosowaną do głosów dziecięcych, podłożyła p. A. Fischerówna.

Przedstawienie wypadło bardzo udatnie i zyskało szczere uznanie licznie zebranej publiczności. Oklaskiwano zarówno gorąco obie autorki, jak młodziutkich wykonawców.

Sztuczka p. Pniowerównej jest bardzo interesująca, pozatem posiada piękną, prawdziwie pedagogiczną myśl przewodnią, wykazuje bowiem konieczność pracy, bez której człowiek stałby się „trutniem". Do powodzenia dziecięcej operetki przyczyniła się autorka także jako reżyserka, umiała bowiem doskonale przygotować dziatwę do trudnego zadania.

Proces o mord polityczny.

W dwa tygodnie po rozpoczęciu zakończył się w ubiegły wtorek sensacyjny proces przeciw Stanisławowi Trudnowskiemu o zabicie Stanisława Rybaka i przeciw Michałowi Sadowskiemu o współwinę w tej zbrodni.

Proces ten, który był epilogiem pamiętnego samosądu partyjnego, dokonanego w Krakowie w sierpniu u. r. na osobie podejrzanej o szpiegostwo i prowokatorstwo polityczne jednostki, zawierał kilka bardzo interesujących momentów. Należały do nich przedewszystkiem zeznania świadków odwodowych, wezwanych przez obronę w celu rzucenia światła na charakter i życie ofiary samosądu, w szczególności w celu stwierdzenia, czy zabity Rybak uprawiał szpiegostwo. Zeznania świadków tych przeważnie obciążyły Rybaka, co musiało wpłynąć decydująco na wynik procesu. Istotnie też sędziowie przysięgli wydali werdykt uniewinniający oskarżonego Trudnowskiego większością głosów, oskarżonego Sadowskiego zaś jednogłośnie. Mimo jednak, iż na mocy tego werdyktu trybunał ogłosił wyrok, uwalniający obu podsądnych od winy i kary, oskarżony Trudnowski pozostanie jeszcze czas jakiś w więzieniu, — prokurator bowiem zgłosił od wyroku uwalniającego go zażalenie nieważności, tak że tylko Sadowski mógł więzienie niezwłocznie opuścić.

Z procesu wspomnianego zamieszczamy w dzisiejszym numerze kilka zdjęć.



Jupe-culotte na scenie krakowskiej: M. Morozowiczówna w sztuce „Nieznajomy tancerz".

Rozwiązanie zagadek z Nr. 11.

Szarada Poeta.

Łamigłówka w trójkącie:

w ł o d z i m i e r z
Ł a g i e w n i k i
O s t r o ł ę k a
D u b i e n k a
Z a g r z e b
I z b i c a
M i n h o
I s i s
E m s
R a
Z

Zadanie do przestawienia: Fortuna kołem się toczy.

Kwadrat magiczny:

R a w i c z
K a k a d u
G a s t o n
S k r z y p
M o t y k a
G i t a r a

Zadanie do przestawienia: Kruk krukowi oka nie

Zadanie krzyżowe:

F A E
l l m
o b e
F l o r e n c y a
A l b e r t y n a
E m e n t a l e r
c y l
y n e
a a r

Łamigłówka:

P o t
J o t
Z e z
n i l
G a j
P a s
w a l
R ó j
W u j
s a d
I w a
Ż l e
g a z
K o s

Kwadrat magiczny:

202	203	209	190	196
195	201	207	208	189
188	194	200	206	212
211	192	193	199	205
204	210	191	197	198

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Dreziński Tarnopol, K. Radoszewski Kolbuszowa. C. Wang Rzeszów. J. Engelberg Rozwadów, J. Łapiński Tarnobrzeg, M. Leszczyńska Sanok, J. Zahradnik Lwów, K. Lipski Czerniowce, J. Osada Warszawa, M. Bandrowska Piotrków, K. Kwaśniewski Staszów, J. Świrski Sandomierz, M. Ostrowska Kraków, J. Łopatkiewicz Sanok, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, W. Lemiszewski Sambor, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, O. Górkowa Chyrów, J. Scholz Wiedeń, K. Bernatowicz Lwów, J. Linderski Lwów, R. Kinalski Jasło, S. Pankiewicz Lwów, H Piątek Podwołoczyska A. Balicki Stanisławów, K. Gliński Kołomyja, S. Ohrenstein Kałusz, J Lindenbaum Czerniowce, G. Górski Kraków, J. Gralewski Warszawa. H. Lisowski Kraków, J. Ciszewski Sanok, K. Pick Łódź. J. Antosz Krosno, J. Jahoda Cieszyn, M. Więckowska Kalisz, S. Kalinowski Warszawa, J. Krynicki Kraków, H. Waligórska Sanok, M. Pniewska Poznań, J. Skąpski Tarnów, W. Gostwicka Lwów, J. Brożek Cieszyn, M. Zerygiewicz Rawa, J. Sonnenreich Stanisławów, S. Turek Wiedeń, J. Klemensiewicz Lwów, K. Żebrowska Lwów, J. Barnat Rzeszów, K Wyka Stanisławów, J Zachara Lwów, H. Sosnowski Krosno, J. Nowakowski Lwów, M. Bogucki Kraków, M. Wojkowski Tarnopol, I. Brzostowski Kraków. M. Wróblewska Wiedeń. Z. Fedorowicz Jarosław, H. Włodek Tarnów, W. Niemiec Stanisławów, J. Bigo Sanok. Z. Rogozińska Stanisławów, H. Jastrzębski Kraków, J Horak Cieszyn, J. John Rozwadów, S. Krzyżanowski Kraków, J. Topolnicki Sądowa Wisznia, R. Zawadzki Tarnów, A. Knasińska Stryj, J. Klappholz Rzeszów. S. Misiewicz Tarnobrzeg, M. Rosenbaum Nisko, Z. Tokarski Warszawa, H. Sawicki Lwów, K. Spławiński Warszawa, J. Boroń Poznań, M. Stankiewicz Kołomyja, S. Sygnarska Kraków, J. Witosławski Podgórze, M. Silbermann Kraków, S. Albin Częstochowa, R. Knapik Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, D. Sedyńska Kraków, W. Potocka Jasło. J. Stępień Lwów, A. Bocsoń Bobrka, E. Bogdalska Koropuż, K. Turecka Tarnopol, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **J Krynicki Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Zdaje się, że wielcy *couturiers* paryscy nie zrezygnowali ze swego ekscentrycznego pomysłu spodeńkowych kostyumów, wciąż bowiem żurnale mód tamtejszych regestrują nowe zakusy wprowadzenia gwałtem na arenę, mimo zaciekłego oporu publiki, osławionego tego stroju; wciąż podają w coraz to nowych odmianach jego modele „dyskretne“ i coraz to dyskretniejsze — byle *coûte que coûte* pomysłów przeprowadzić. Ale tak samo także nie ustaje opór przeciw niemu i, jak słusznie wyraził się któryś z dzienników, nie wiadomo co tu jest śmieszniejsze: czy samaż ta moda, czy też namiętny przeciw niej opór. Najlepszą bronią w tej walce chyba są liczne a częstokroć dowcipne pism humorystycznych karykatury. Najzaciętszymi wrogami żiupkiulotki są panowie, tak im bardzo chodzi o przywilej spodni,



Rys. 3. Sukienka dla dziecka od 4 - 6 lat.

że ta ich irytacya mimowolnie przypomniała nam pewne autentyczne, w świecie teatralnym tutejszym dość znane zdarzenie. Ongi, przed kilku laty, na jednej ze scen krakowskich była aktoreczka ot, — takie „krowięto“, jak się to zwie w teatralnym języku, która przybrała sobie arcyskromnie, jako teatralne *nom de guerre*, jedno z najarystokratyczniejszych na zwisk polskich. Przedstawiciel tego nazwiska nie uznał za stosowne, korzystając z przysługującego mu prawa, ostro wystąpić przeciw temu nadużyciu, ale bagatelizując arystokratyczną zachciankę tak zwanej „artystki“, osobiście tylko spytał ją, jakie ma prawo do posługiwania się tak powszechnie znanem nazwiskiem, czy istotnie może się tak nazywa?... Rezolutna „artystka“ przyznała, że w samej rzeczy nazywa się N. N. — tu wymieniła dość pospolicie brzmiące nazwisko. „Ale — dodała w odpowiedzi naiwnie — jeżeli się to księciu nie podoba, żem jego nazwisko przybrała, to możemy przecież łatwo się skwitować. Alboż ja bronię panu przybrać moje?...“ Arystokrata, rozzbrojony, uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Taką odprawę miałoby się ochotę dać obecnie całej falandze zaciekłych wrogów „żiupkiulotki“, w razie gdyby się paniom naszym zachciało *par force* przeprowadzić ten wybryk mody. Tylko, że wątpliwem jest, aby im się zachciało. Wprawdzie ciasne nad miarę, formalnie pętające i obezwładniające spódniczki tegoroczne są zda się środkiem przymusowym niemal do zamiany tejże na ubiór znacznie wygodniejszy, ale z drugiej strony nowy strój jest tak nieestetycznym, tak zrywającym z wszelką tradycyą: powiewności i malowniczości niewieściego stroju, że nie może znaleźć aprobaty kobiet o poczuciach estetycznych.

Przechodząc do paragrafów zaaprobowanej mody



Rys. 1. Suknia wiosenna z lekkiej wełny. Rys. 2. Suknia haftowana z białej piki.

wiosennej, zaznaczyć należy niezmierną barwność kostyumów. Wiedeń przyjął naprzykład, jako ulubioną tej wiosny barwę, kolor *évêque*, czyli wybitnie fioletowy; widzieliśmy także używany na długie płaszcze kolor *tuile*, ceglasto-czerwony, na krótkie żakieciki nawet szkarłatny. Z materyałów na wiosenne i letnie suknie używany będzie *voile coton*, zwłaszcza biały o barwnych szlakach i *mousseline chiffon*. Ogromnie używane będą, do lekkich nawet sukien bordiury „ kolorowych perełek, szlaki wyszywane metalowemi nićmi: starego złota, matowego srebra, miedzi i t. p., koronki weneckie przetykane metalową nicią, zwłaszcza do bluzek, na który to przystrój narzuca się następnie materyał przeźroczy, maskujący jaskrawość metalu. Nowością również są materyały paskowane, mające za przystrój wolant odpasowany w kratę odpowiednich barw.

Kapelusze wykazują w ogóle bardzo niewiele właściwych kwiatów, przeważnie stroi się je piórami, także nowością tegoroczną kwiatami z wełny, dość prymitywnymi w swem wykonaniu, a także kwiatami układanymi z drobnych, różnobarwnych piórek. Najświeższym wszakże na tem polu pomysłem są kapelusze słomkowe ubierane futrem.

Do przystroju sukien bardzo modnemi będą frendzle szmuklerskie jedwabne a nawet z perełek zastosowanych do barwy sukni. Bluzka biała nie wychodzi z użycia, musi wszakże być lekko dekoltowaną. Fryzury bardzo szerokie coraz mniej już są używane, wiele już



Rys. 4. Sukienka dla dziewczynki lat 5 - 9.

widzieliśmy w wystawach wiedeńskich fryzyerów uczesań, pozbawionych zupełnie niedawnych olbrzymich podkładów od skroni.

Rysunek 1. daje nam zręczną wiosenną suknię z wełnianego materyału z bluzkowym stanikiem i jasną szmizetką; rysunek 2. suknię z białej haftowanej piki z wolantem i jednostronną tuniką. Dwa dalsze rysunki przedstawiają ubiorki dziecinne; rysunek 3. sukienkę z różowego wełnianego materyału w układane kontrafałdy wyszywaną białym sutaszem, dla dziecka od 4—6 lat; rysunek 4. sukienkę do prania dla dziewczynki od 5—9 lat z kretonu, zefiru lub satynki dwukolorowej. *Mora...*

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Zofii M., Tarnopol. Otrąbki abaridowe-odpadki z cebulek białej lilii, nie mają nic wspólnego z migdałowymi. Przy myciu i w działaniu na udelikatnienie i świeżość cery nie mają dotychczas sobie równych, o czem twierdzić można z doświadczenia bardzo licznych odbiorców i podziękowań.

Pani S. O., Przyznaję, że autorytet p. Marcele jest zupełną rękojmią, że zalecony krem tejże nazwy okazał się bardzo dobrym. Jakkolwiek wyrabia go firma Malinowskiego, znana z dobroci mydeł, jest on przygotowywany według recepty Prof. Debay'a. Rękawiczki kosmetyczne nienasycane używa się tylko na noc. — Błyszcz amerykański, w postaci cegiełek, zwany Lustrirt będzie najstosowniejszy. Do cegiełek dodaje się płyn, który zapobiega kruszeniu się paznokci.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można
we Lwowie, ul. Akademicka L. 21
w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

51

Maksym Duret został tem przybity do reszty.

— Nie długo on jednak pozostał więźniem — odezwał się teraz szef policyi. — Wspólnik jego zdołał go uwolnić i obecnie bujają gdzieś we dwóch, a gdzie, to tylko djabeł wie...

Prezes zdawał się być zamienionym w posąg, a stał się biały jak marmur.

— Ale — ciągnął dalej szef policyi — najciekawsze w tem wszystkiem jest to, że pan zna dobrze tego Panajona.

— Ja?... — zdołał zaledwie wyszeptać nędznik.

— Pan i cały Paryż... Zdobył sobie pańską przyjaźń i wielu innych ludzi pod przybranem nazwiskiem Karola Turnera... Tak, panie... Ten znany australczyk, który był tak głośnym od kilku dni, jest w gruncie rzeczy opryszkiem, kilkakrotnie karanym już sądownie... I co pan to??... Nie spodziewał się pan czegoś podobnego?...

I szef opowiedział wszystko, co się stało przy ulicy Boissy d'Anglas.

O ósmej rano przybył sędzia śledczy z sekretarzem, by obejrzeć miejsce kradzieży i zebrać szczegóły od pana domu i służby. Maksym Duret dowiedział się przytem, iż Panajona widziano w samochodzie w lasku Bulońskim.

Wreszcie prezesa pozostawiono samego z jego rozmyślaniami. Nie były one zresztą bardzo wyraźne. Nie mógł pogodzić się z rzeczywistością i ciągle powtarzał:

— Nic nie rozumiem... Co to będzie?...

Koło południa, gdy siedział w swym gabinecie z łokciami opartymi na biurku, ściskając sobie rękami głowę, wszedł służący i podał mu kartę wizytową.

— Lewis Jackson, Chicago — przeczytał. — Nie! Nie przyjmuję nikogo!

Lecz amerykanin ukazał się tuż za służącym, a za nim wchodził inny gość.

— Julian Maixent... — szepnął filantrop.

Był blady i siedział jakby wtłoczony w swój fotel.

Służący widząc, że pan jego nie mówi nic więcej, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Nastało milczenie. Nędznikowi zabrakło głosu. Wreszcie zdołał wymówić:

— Co znaczy ta karta?

— To moje nazwisko — odparł amerykanin.

— Znam z nazwiska Lewisa Jacksona... Jest to miliarder...

— To ja jestem...

Maksym Duret czuł, że Julian Maixent mówi prawdę. Zamilkł znowu. Był jak odurzony.

— Czego pan sobie życzy? — wykrztusił z siebie po chwili.

— Zawiadomić pana o skazaniu — odpowiedział flegmatycznie amerykanin.

— O skazaniu?... Co to ma znaczyć?...

Prezes nie chciał się jeszcze poddać. Udawał zdziwienie, lecz rolę tę odgrywał bardzo niedołężnie, gdyż z przygnębionej miny jego i braku słów widać było przyznanie się do porażki. Nędznik, gdy tylko spojrzał na pewne siebie postaci dwóch gości, pojął odrazu, że sprawa jest przegrana i nadszedł czas płacenia.

Lewis Jackson mówił dalej:

— Nie znoszę wykrętów i żadnych formalności. Służą one zresztą tylko przy zastosowaniu praw spisanych w kodeksie... A ja jawię się tutaj jako wykonawca prawa nie kodeksowego, lecz prawa lynczu... Zbytecznem więc jest wyliczać pańskie przestępstwa... Zbytecznem wchodzić w szczegóły samej kary... Nie mamy co się bawić w takie historye... Niech pan wie tylko, że dajemy panu jeszcze czterdzieści ośm godzin łaski...

Maksym Duret był człowiekiem niezmiernie dumnym. To słowo łaska podziałało na niego odpornie. Wyprostował się nagle i rzekł wyniośle:

— Jakie dowody ma pan na to, o co mnie oskarża?

Przystępował do walki.

— Czy ma pan — ciągnął dalej — choć trzy wiersze mego lub siostrzenicy mej pisma, na którem mógłby się pan opierać?... Czy ma pan innego świadka oprócz Panajona, którego przysięgi nie przyjmie żaden trybunał?...

— Nie wiem — odrzekł spokojnie Lewis Jackson — czy moje dowody byłyby wystarczające dla sądu... Dostateczne one są dla mnie i to mi już wystarcza...

Przez chwilę Maksym Duret myślał, by skorzystać z Ludwiki jako zakładniczki, jak to mu podawał swego czasu Panajon. Przypomniał jednak sobie zaraz, że złodziej przeszedł do obozu Lewisa Jacksona i że wobec tego więzienie młodej panny prawdopodobnie już się skończyło.

Nędznik mimo to nie złożył jeszcze broni. Wstał z fotelu i nie wiedząc, co powiedzieć, patrzył na amerykanina tak podejrzanem okiem, iż Joe Smith, który stał w głębi gabinetu, podszedł ku obu przeciwnikom.

— *Hallo!* — zakończył miliarder, nie tracąc swego lodowatego spokoju. — Szkoda czasu na słowa... Nie jesteśmy w teatrze, byśmy grali komedyę... Powtarzam panu, że ma pan czterdzieści ośm godzin na przygotowanie się do poniesienia kary... Niech pan się spieszy z wykorzystaniem tego czasu... Za dwa dni pan zniknie...

Te ostatnie słowa przypomniały Maksymowi Duretowi jego siostrzenicę.

— Co pan zrobił z panią de Lagunan?... — nie mógł powstrzymać się od zapytania.

Był teraz przekonany, że Lewis Jackson i Piotr są sprawcami zniknięcia baronowej.

— Niech pan się nią nie zajmuje — odpowiedział miliarder... Nigdy już jej pan nie zobaczy i nie będzie miał o niej żadnych wiadomości... Niech pan myśli o sobie... Zdaje mi się, że pan nie chce publicznego wyjawienia ani swego postępowania, ani kary, jaką pan poniesie?

Prezes nie odpowiedział. Lecz dla każdego, kto znał jego dumę, widoczne było, iż wolałby on ponieść tysiące kar, byle tylko za tę cenę powstrzymać rozgłoszenie swej hańby.

— Ani mnie ani Piotrowi również na tem nie zależy... — mówił dalej businessman. — Nie chcemy aby nazwisko, które nosi pańska wnuczka, Kamilla, było deptane w błocie na bulwarach... I dlatego tylko udzielamy panu czasu dostatecznego do porobienia przygotowań do rzekomej podróży... Niech pan oznajmi swym przyjaciołom i znajomym, że z powodu ważnych spraw musi pan opuścić Francyę i zamieszkać w Australii... Niech pan zapakuje kufry, odprawi służbę i zamknie swą willę...

Lewis Jackson spojrzał na zegarek i dodał:

— Mamy obecnie piątek, dwudziesty szósty lutego, godzinę dwunastą minut dwadzieścia pięć... Ma pan czas do niedzieli, dwudziestego ósmego lutego, dwunastej minut dwadzieścia pięć w południe... Niech pan robi, co chce przez ten czas... ale nie wydala się poza granice Paryża... i nie stara się oszukać czujności tego pana...

Businessman wskazał na swego sekretarza i zwrócił się do niego:

— Smith, będzie pan uważał się za sekretarza tego człowieka... Niech pan nie oddala się od niego nawet na pół minuty... Niech nie uczyni ani jednego ruchu, któregoby pan nie widział... Niech nie wymówi jednego słowa, któregoby pan nie słyszał... A gdyby nie poznał się na pańskiej grzeczności, wtedy ognia! położyć go natychmiast na miejscu... Rozumiesz pan?

— *Yes, sir* — odpowiedział flegmatycznie Jankes.

— Niech pan pokaże rewolwer, który kupiliśmy po drodze — rzekł Lewis Jackson.

Joe Smith wyjął z kieszeni marynarki rewolwer, który kupiliśmy po drodze — rzekł Lewis Jackson.

Joe Smith wyjął z kieszeni marynarki rewolwer dużego kalibru.

— *Well!*.. zaczął znowu miliarder, mówiąc do Maksyma Dureta. — Jest to doskonała broń, dokładnie wykończona, a pański czasowy sekretarz z odległości dwudziestu metrów trafia w markę pocztową... Od ośmnastego do trzydziestego roku życia był to cow-boy... Jest więc pan uprzedzony o wszystkiem...

Maksym Duret siadł znowu i patrząc do okna, udawał, że nie słyszy miliardera. Mimo jednak tych ostatnich objawów swej dumy, nędznik ulegał zwolna. Co chwila wstrząsały nim dreszcze, a na zimnem jego czole powstawały wielkie krople potu.

— Nie dosyć jednak — mówił dalej Lewis Jackson — że pański dozorca będzie uzbrojony... To mało... Pan nie może mieć przy sobie żadnej broni... W przeciwnym bowiem razie może pan skorzystać z tego tête-à-tête, zamordować go podstępnie i uciec... *Hallo!* wstać!

Maksym Duret udał, że nie słyszy.

— Wstać! — powtórzył gniewnie amerykanin. Pokazać kieszenie! Ach! niech mnie pan nie doświadcza... — dodał, widząc, że prezes nie zmienia pozycyi. — Czy pan nie widzi, że mój spokój jest tylko powierzchowny?.. Czy pan nie czuje, jak się hamuję, by pana nie zgnieść tu jak psa wściekłego?...

Lewis Jackson unosił się. Nie podnosił głosu, tłumił go nawet, lecz w tonie jego brzmiała jakaś dzikość.

— Ognia! — rozkazał nagle. — Strzelaj, Smith.

Maksym Duret wyprostował się odrazu.

Sekretarz wycelował i palec położył na kurku.

Lewis Jackson opanował się.

— Nie strzelaj, Smith! — rzekł.

Potarł sobie ręką czoło, odetchnął głęboko i dodał:

— *Well!* Uniknąłeś kuli, Duret.. Nie narażaj się więcej na to... Żadnego oporu!

Prezes czuł, że śmierć nad nim stała. Nie czekając nowego wezwania, wywrócił na lewą stronę kieszenie, kładąc przed sobą kilka przedmiotów, jakie w nich miał.

— *All right!* — rzekł miliarder. — Nie ma broni! *Well!* Smith! Uważaj teraz, by nie ukrył gdzie rewolweru...

— *Yes, sir!*

— Duret, musi pan wrócić wieczorem o dziewiątej godzinie... Będę na pana czekał... Ja będę pilnował pana w nocy... Smith będzie pełnił tę służbę w dzień..

— *Yes, sir!* — powtórzył Jankes.

Maksym Duret milczał.

— *All right!* — zakończył miliarder.

Spokojnie opuścił gabinet i wyszedł na ulicę tak równym krokiem, jakby przed chwilą załatwiał jaki interes handlowy.

Prezes i Joe Smith zostali sami, jeden naprzeciw drugiego.

Po pewnej chwili otworzyły się drzwi do gabinetu, wszedł służący i oznajmił:

— Do stołu podano!

Czy jego pan był sam, czy też miał kogo u siebie, służący był obowiązany zawsze uprzedzić, iż czas już siąść do stołu.

Prezes spojrzał na służącego bezmyślnym wzrokiem, potem przeszedł do jadalnego pokoju. Joe Smith szedł za nim krok w krok.

Maksym Duret siadł na swem miejscu. Ruchy jego były zupełnie automatyczne. Służący nachylił się ku niemu i szepnął:

— Czy dać jeszcze jedno nakrycie?

Prezes przez kilka chwil nie odpowiadał, potem jakby mu to pytanie podsunęło jakąś myśl, ożywił się i rzekł:

— Tak... Proszę, niech pan usiądzie — zwrócił się do Joe Smitha, wskazując na krzesło, ktore służący pośpiesznie podsunął.

Flegmatyczny Amerykanin siadł naprzeciwko Maksyma Dureta i zabrał się od razu do jedzenia. Prezes siedział w dalszym ciągu przygnębiony, mimo to jadł trochę i starał się wywiązać dobrze z obowiązków gospodarza.

— Proszę przynieść dwie butelki szampana i jedną Lacryma Christi — rozkazał.

Wstrzemięźliwość jego była znana. Pił on tylko kawę i herbatę. Piwnica jednak jego była dobrze zaopatrzona.

Gdy podano deser i odkorkowano butelki, prezes dał znak służącemu, by wyszedł. Poczem podsunął ser swemu gościowi i nalał mu do kieliszka wina.

Joe Smith już przedtem wypił dosyć czystego bordeaux. Nie można jednak było tego poznać po nim. Siedział spokojny, flegmatyczny, nie otwierając ust, chyba tylko wtedy, gdy pił wino. A nie oszczędzał siebie pod tym względem, gdyż wkrótce stały przed nim dwie butelki puste, a trzecia była już zaczęta.

Maksym Duret ujrzał się zmuszonym pierwszy zacząć rozmowę.

— Ci Amerykanie — myślał — tak są przyzwyczajeni do swych szatańskich trunków, iż nasze wina piją jak wodę... Zdaje mi się jednak, iż mój jegomość jest już w lepszym humorze, niż był z początku... Będzie mnie teraz chętniej słuchał.

I prezes odezwał się głośno:

— Kim pan jest przy panu Jacksonie?...

— Jestem jego sekretarzem — odpowiedział Joe Smith, krając sobie świeży kawałek sera.

— Czy wie pan, co zamyśla względem mnie pański pryncypał?... — pytał nędznik.

— Nie.

— To szkoda.

Maksym Duret zamilkł na chwilę. W pokoju jadalnym panowała obecnie cisza, przerywana tylko szczękaniem zębów Jankesa, który jadł ser.

Filantrop zaczął znowu:

— Chce pan zrobić karyerę?

— Chętnie! — odparł Joe Smith.

— Niech pan zgodzi się do mnie... Będziemy razem zdobywali majątek za granicą... Jako pensyę dam panu cztery razy tyle, co pan ma u Jacksona...

Joe Smith nie odpowiedział na to żadnym gestem ani słowem. Wstrząsnął tylko spokojnie głową i nalał sobie kieliszek Lacryma-Christi.

Maksym Duret śledził uważnie wyraz twarzy Amerykanina.

— Wydaje się to panu za mało?... — rzekł. — Dobrze więc!... Przypuszczę pana do swych przedsiębiorstw...

Joe Smith wypił kieliszek wina i zachował milczenie.

— Ofiaruję panu jeszcze więcej — mówił dalej prezes. — Okrągłą sumkę wypłaconą natychmiast... Mam przed sobą jeszcze czterdzieści osiem godzin... Zrealizuję na gotówkę swój majątek i dam panu z niego połowę... Nie?... Dwie trzecie... Co?...

Joe Smith milczał w dalszym ciągu.

— Dwie trzecie... — powtórzył Maksym Duret.

— Hallo!... — odezwał się wreszcie Amerykanin. — A pan jest bardzo bogaty?...

— To zależy...

— Ile pan ma milionów?

— Oh! ja nie liczę na miliony...

— Na setki tysięcy?

— I tego nie...

— *Well!* — A wie pan, ile ja mam u Jacksona?

— Nie...

— Czterdzieści tysięcy dolarów.

— Dwieście tysięcy franków?

— Ściśle mówiąc dwieście dziesięć tysięcy.

— Rocznie?

— Rocznie.

— Ależ to jest prawie cztery rrzy tyle, co otrzymuje we Francyi minister!

— Ale we Francyi niema takiego ministra, który mógłby być sekretarzem Lewisa Jacksona! Gdyby taki się znalazł, to Lewis Jackson wziąłby go do siebie natychmiast, by mieć następcę po mnie.

Maksym Duret nie rzekł już ani słowa. Nadzieja, jaką miał, siadając do stołu i która go ożywiała przez cały czas śniadania, ustąpiła teraz miejsca nowemu przygnębieniu. Wzrok nędznika stał się znowu zamglony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła M. Rutkowska, Borysław.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby pierwszy wiersz pionowy i poziomy utworzył przyczynę awantur i demonstracyi ulicznych w całej Europie.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Dążność do postępu. 3. Podział kodeksu. 4. Imię żeńskie. 5. Naczynie. 6. Miejscowość na Śląsku austryackim. 7. Reformator. 8. Roślina 9. Zaimek. 11. Samogłoska.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina

Odważne, rącze, bystre, śmiałe,
Stanowią pewnych sportów chwałę.
Trochę inaczej, a trochę wspak,
Na nic zabawa, kiedy ich brak.
Ot, tam pod lasem wszyscy jadą,
Tu dwoje samych, tam gromadą,
A ty biedaku patrzysz z boku
Aż ci łza żalu błyszczy w oku...
Tu sam z łatwością na trop wpadniesz,
Ledwie przeczytasz, już odgadniesz.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Leon, Ewa, Jawa, Pol, go.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Drugie posiada, zaś pierwsze i trzecie
To zwykłe sobie niezdatne rupiecie.
Z trzecią i czwartą równać choć się zdarzy
Ale ten przedmiot chudością przeraża.
Całość, codzienna strawa bakałarzy,
Uczeń się męczy, kuje i powtarza.
Na domiar złego do ucha ktoś powie:
Poznać po mowie, co u kogo w głowie!

Arytmo-logogryf.

Ułożył A. Szuber, Zbaraż.

Liczby, kwadraty i kreski zastąpić literami. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiej powieściopisarki i autorki dramatycznej.

□
1 □ —
2 3 □ — —
4 5 □ — —
6 7 8 □ — — —
8 7 9 □ — — —
10 7 □ — —
6 □ —
□
11 □ —
4 5 □ — —
4 □ —
3 □ —
12 13 □ — —
4 8 7 □ — — —
6 7 14 9 □ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miasteczko na Podolu. 3. Kraj w Afryce 4. Znany jamochłon. 5. Wódz rzymski. 6. Jenerał austryacki. 7. Opera Moniuszki. 8. Smarowidło 9. Spółgłoska. 10. Panujący. 11. Inaczej odbitka. 12. Ptak śpiewający. 13. Mieszkanie znanych owadów. 14. Rzymska bogini. 15. Lud polski. 16. Imię żeńskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Waść, Pac, lotnik, jutro. one.

Łamigłówka.

Ułożył K. Stamirowski, Skała n. Zbr.

Dwie spółgłoski, wstawione w miejsce kropek, utworzą sześć wyrazów, z których każdy będzie je miał w swym składzie.

. a .
. e .
. i .
. o .
. u .
. y .

Zadanie przysłowiowe.

Ułożyła M. Rutkowska, Borysław.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:
Mało, wieko, dery, Czech, łów, siew, kit, lin.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Kto całość tworzy, ten dwu pierwszych godzien,
Bo najwstrętniejszy to ze wszystkich zbrodzień.
Kto to jest dla nas i dla naszych dzieci
Określa druga razem z brzmieniem trzeciej.
Całość — gdzie źródło ma brutalna siła
Krótko, w trzech głoskach miano swe ukryła!

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:
Pęki, ład, noc, boki.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Prentice Mulforda:* **Moe Ducha.** Zasady wzmacniania ducha i ciała, kształcenia siły woli i osiągnięcia prawdziwego szczęścia.

Magazyn Krawiecki

M. Czaji i W. Rechowicza KRAKÓW Mikołajska L. 24.

Materyały i krój angielski, wykończenie artystyczne

Rok założenia 1900 **PIERWSZORZĘDNY** Rok założenia 1900

ZAKŁAD KRAWIECKI

NA ZAMÓWIENIA

Jedyny skład ubrań gotowych

wyrobu krajowego.

Kraków ul. Floryańska 7, tuż przy Rynku

Filia: **Lwów, pl. Halicki 7** (gdzie Cent. Kawiarnia)

Związek katolic. krawców

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

Pierwsza krakowska fabryka lalek

Kraków, ul. Wolska L. 1.

Zachęceni sympatyą Szan. Publ. do swoich wyrobów, skontruowaliśmy **nową lalkę** bardzo trwałą, odpowiadającą do nauki kroju i szycia.



Wielkość od 30 cm. do 61 cm. w cenie od **Kor. 2·60** do **13·—** i więcej.

Dokładna robota jest to dobry patent!



K N A P I Ń S K I

Zakład własny wyrobów ortopedycznych

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga

do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaże, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu, **prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.**

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profesorów i lekarzy, odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Kraków, Mikołajska 7.

Telefon 505.



Marzec 1911

Najnowsze zdjęcia **na płytach Pathé** 29 cm. (do szafiru) po K 4·50

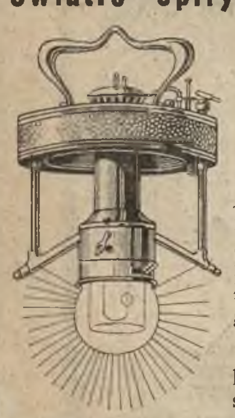
	Orkiestra:		Smyczkowa ork.:
26670	Mazur z Halki / Polonez „	26794	Księżniczka dolarów, walc / Française, polka
26677	Dawne czasy, mazur / Mokołowski, „	3965	Złoto i srebro, walc / Czar walca, walc
			Harmonia solo:
26709	Cała Warszawa, kadryl 1—2 / „ „ „ 3—4 / „ „ „ 5—6 / Polonez Ogińskiego	26866	Koporski, walc / Oczekiwanie, walc
			Kuplety: Domosławski:
26675	Miodowy miesiąc, walc / Pierwszy całus, walc	26827	Oj, Jenta / Śmiech
26695	Pogotowie, polka / Władka, polka	26775	Polka w szafliku / Żydowski mazur
			Jarkowska:
26691	Pieszczotka, polka / Trzpiotka, „	26791	Młynarczyk / Żołądź
			Monologi:
26679	Złota Elżunia, polka / Lola, polka	26765	Na Ujazdowie / Przy telefonie
		26769	Na srebrnej sali / Przy kasie teatr.

Kraków, ul. Szewska 10|2

S. Grudziński i T. Berger

Katalogi aparatów i płyt darmo i opłatnie.

Światło spirytusowe „Wiktorin"



jest najlepszem, najdoskonalszem i efektownem światłem światowem dla wszelkich zapotrzebowań w życiu!

Zalety:

Minimalna konsumcya materyału, nieograniczone używanie, nieograniczona trwałość, absolutne bezpieczeństwo, niedorównana siła światła, łatwy transport, gustowny wygląd.

Patentowane we wszystkich krajach. — Odznaczone pierwszymi nagrodami.

Kompletne lampy, włącznie z opakowaniem wprost z fabryki **od Kor. 39·— wzwyż.**

Daleko idąca gwarancya.

Lampy i szkła w pięknym wykonaniu według osobnego cennika i prospektów.

FABRYKA TOWARÓW METALOWYCH

Wiktorin & Co.

Wiedeń V., Margarethenstrasse Nr. 120.

Skład wzorów Wiedeń VI., Magdalenenstr. Nr. 6.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 759.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru

Podejmuje się wykonania grobowców w mieście i na prowincyi.

Do Ameryki i Kanady

przeprawia najlepiej



Linia Kunard

we Lwowie, ul. Gródecka **99.**

Cena przeprawy okrętem 180 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.

Odjazd z portu **w Tryeście:** **Ultonia:** d. 11 kwietnia 1911, **Saxonia:** d. 18 kwietnia 1911. **Pannonia:** dnia 2 maja 1911.

Z Liwerpolu; Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 8/4, 29/4, 20/5, 10/6, 8/7 1911.

Maurytania: dnia 22/4, 13/5, 3/6, 24/6, 22/7 1911.



Żadna pani nie oprze się pokusie

ażeby czegoś nie zamówić, skoro ujrzy te wspaniałe nowości w zefirach, barchanach, voilesach, satynach, jedwabiach, atłasach, oxfordach, damastach, kanevasach, obrusach, ręcznikach i rozmaitych płótnach.

Proszę zażądać wspaniałej kolekcyi wzorów wiosennych, jak i wszelkich płócien i towarów bawełnianych, którą każdemu **darmo i oplatnie przesyłamy.**

Wszelkie wyprawy ślubne, hotelowe dla sanatoryów etc.

Tkalnia i Dom wysyłkowy pierwszej rangi

Braci Krejcar, Dobruška (9202) Czechy

Proszę zamówić na próbę:

30 m. pięknych zebranych resztek K 18·—

6 prześcieradeł wielk. $^{150}/_{200}$ cm. tylko „ 14·—

Nieodpowiednie przyjmujemy z powrotem.

STRZELBY



Jednolufki . . od Kor.	26·—
Dubeltówki „ „	36·—
Floberty . . „ „	8·50
Pistolety . . „ „	2·—
Rewolwery „ „	5·—

Naprawy możliwie najtaniej. Bogato illustrowany Cennik darmo i opłatnie.

F. DUŠEK

fabryka broni

w Opočno Nr. 485. ...

Tanie czeskie **PIERZE**



5 kilo nowego, darte go K 9·60, lepszego K 12, białego dartego miękkiego jak puch K 18 i 24, śnieżno białego dartego miękk. jak puch 30 i 36. Wysyłka franko za zaliczką, zamiana i zwrot opłatnie dozwolona

Benedykt Sachsel, Lobes N. 265 obok Pilzna, Czechy.



Nigdy nie trzeba używać równocześnie dwóch różnych preparatów, celem pielęgnowania cery, gdyż odnośne składniki bardzo często się nie znoszą, w następstwie czego złe skutki sprowadzić mogą.

To samo odnosi się do wyboru pudru, ponieważ nie każdy z **Cremem Simona** harmonizuje, dlatego godnem polecenia jest używać do **Cremu Simona** także zawsze tylko **Pudru Simona** z fiołkowym lub heliotropowym zapachem. 1

Puder Julii

jest nieocenionej wartości pod jego wspaniałą emalią znikają wszelkie wady skórne. Przy dziennem jak przy wieczornem oświetleniu nie widoczny. — Gatunki: różowy, biały lub czerwony. Cena dużego kartonu K 2·—

J. Frisch, Wiedeń VIII., Tigergasse 38.

Lalki

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

S. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE

ul. Grodzka 2

Pierwszorzędny Zakład pogrzebowy

i fabryczny skład trumien

J. HORAK

Kraków, Mikołajska l. 14. Telefon 248.

Wspaniałe urządzenia pogrzebowe, ekshumacye, sprowadzania i przewozy zwłok. — **Ceny umiarkowane** — Rzetelna obsługa.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.